MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 40. WARSZAWA, 23 SIERPNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

PRÓBY TWORZENIA RZĄDU W LISTOPADZIE 1918

(KARTKA ZE WSPOMNIEŃ)

ARTYKUŁY senatora Stanisława Głąbińskiego, umieszczone na początku roku bieżącego w „Myśli Narodowej" p. t. „Odkąd Polska jest państwem niepodległem", zawierały poza główną swą tezą, polegającą na właściwem ustaleniu chwili powstania władz polskich, wiele cennych i nieznanych szczegółów z przełomowego okresu końca października i początku listopada 1918 r. Zawrotny bieg wypadków na głównym terenie tytanicznych zmagań wojennych sprawił, że okres ten, mimo swej wielkiej doniosłości w życiu państwa polskiego, nie dość dokładnie utrwalił się w pamięci współczesnych. Uwaga całego świata skierowana była wówczas tam, gdzie odgrywał się ostatni akt wielkiej tragedji dziejowej. W Polsce zdawano sobie również sprawy, że bez decydującego zwycięstwa Koalicji o istotnej niepodległości państwa polskiego nie może być mowy, śledzono więc z zapartym tchem szybko następujące po sobie wydarzenia, zwiastujące ostateczną klęskę Niemiec, wobec których wypadki, rozgrywające się na terenie wewnętrznym, schodziły na plan drugi. Dlatego obecnie tembardziej są cenne wspomnienia, w rodzaju tych, jakie zawdzięczamy senatorowi Głąbińskiemu, bo uprzytomniając nam wydarzenia owej doby, świadczą dobitnie o jednolitości programu tych ugrupowań politycznych, które, zarówno w kraju jak i na Zachodzie, zgodnie i konsekwentnie dążyły do związania polityki polskiej ze zwycięstwem państw Koalicyjnych. Pod tem hasłem powstał pierwszy niezależny rząd polski Świeżyńskiego, w którym p. Głąbiński piastował tekę ministra spraw zewnętrznych. Rząd ten, poparty przez opinję narodową wszystkich dzielnic polskich, nie potrafił niestety opanować sytuacji i załamał się na kompromisie z żywiołami lewicowemi, których siłę i wpływ w kraju zbytnio przeceniał. To też, gdy skutkiem wydania odezwy z dnia 3-go listopada, wzywającej do utworzenia Rządu Narodowego „w większości swej z przedstawicieli ludu pracującego złożonego", Rada Regencyjna udzieliła gabinetowi Świeżyńskiego dymisji, wytworzyła się wtedy atmosfera, sprzyjająca samozwańczemu ogłoszeniu rządu ludowego przez *leader*'ów stronnictw lewicowych w Lublinie. Rada Regencyjna skutkiem tego zawisła w powietrzu i jak pisze p. Głąbiński, „nie upłynęły dwa dni, a Rada zrozumiała swój błąd i starała się go naprawić, ale już było zapóźno". Wysiłki Rady po ustąpieniu gabinetu Swieżyńskiego szły w kierunku utworzenia rządu z udziałem stronnictw ludowych, a przedewszystkiem niezwiązanego z lewicą socjalistyczną stronnictwa Piasta. Z początku powierzyła ona misję przeprowadzenia rokowań ks. Eustachemu Sapieże, okazało się jednak niebawem, że wobec negatywnego stanowiska lewicy i niechęci Koła Międzypartyjnego do pertraktacyj z Radą Regencyjną, sprawa ta na gruncie warszawskim załatwić się nie da. Wtedy postanowiono szukać porozumienia z piastowcami w Krakowie. W tym samym kierunku, a nawet z nadzieją sformowania rządu na szerszej podstawie, bo z udziałem socjalistów — szły usiłowania komitetu ministerjalnego, składającego się z b, ministrów rządu Świeżyńskiego w których imieniu wyjechali do Krakowa p.p. Głąbiński i Władysław Grabski.

W artykule swoim p. Głąbiński wspomina jeszcze o dwóch delegatach Rady Regencyjnej,

wysłanych w tym samym celu, mianowicie o b. marszałku rady stanu Pułaskim i b. wice-marszałku Bądzyńskim, którzy prawie jednocześnie bawili w Krakowie. Dla wielu ludzi, biorących czynny udział w wypadkach pomiędzy dymisją Świeżyńskiego a powrotem z Magdeburga Józefa Piłsudskiego, misja tych ostatnich delegatów jest szczegółem zupełnie nieznanym i nowym. Nie wspomina o niej wcale p. Marjan Seyda w swem dziele „Polska na przełomie dziejów", natomiast znajdujemy tam wzmiankę o innej delegacji Koła Międzypartyjnego w osobach Czerniewskiego, Przanowskiego, Rosseta i piszącego te słowa. Jako jeden z uczestników tej delegacji winienem wspomnieć jeszcze o dwóch ludziach, biorących w niej udział, mianowicie o przedstawicielu realistów ś. p. radcy Witoldzie Marczewskim i byłym ministrze gabinetu Świeżyńskiego Zygmuncie Chrzanowskim. Delegaci spędzili trzy dni w Krakowie, a choć wrócili nie spełniwszy swej misji, to jednak jak to później opowiem, rząd był już prawie ukonstytuowany. Okoliczność ta, jak również wiele epizodów, charakteryzujących nastroje owych dni przełomowych, zachęcają mnie do utrwalenia w druku wspomnień osobistych z tej bądź co bądź ciekawej wycieczki politycznej. Oczywiście po 13 latach wiele szczegółów zatarło się w mej pamięci, mogą się więc w moje opowiadanie wkraść drobne nieścisłości. W ogólnych jednak zarysach starać się będę uwypuklać te tylko fakty, które zupełnie ściśle zapamiętałem. Daleki jestem od przeceniania doniosłości narad krakowskich, które zresztą żadnym realnym wynikiem się nie zaznaczyły. Moje bezpretensjonalne opowiadanie uważam tylko za skromny przyczynek do dziejów tych paru ważnych dni, które zdecydowały o kierunku przyszłych rządów Polski i które dlatego powinny być znane nawet w najdrobniejszych swoich szczegółach.

Dziś już nie przypominam sobie dokładnie sprawy, która sprowadziła mnie w dwa dni po upadku gabinetu Świeżyńskiego do miejsca urzędowania Rady Regencyjnej w pałacu ordynacji Krasińskich na Krak.-Przedmieściu. Mam wrażenie, że byłem wydelegowany przez Sekretarjat Koła Międzypartyjnego w celu wybadania, jakie są dalsze projekty Rady, wobec widocznego już nieudania się misji ks. Sapiehy. Z rozmowy z regentami ks. Lubomirskim i Ostrowskim doszedłem do wniosku, że regenci, wobec wiadomego im wyjazdu wielu wybitniejszych członków lewicy do Lublina w celu utworzenia partyjnego rządu, byliby skłonni złożyć swą władzę w ręce rządu, utworzonego z reprezentantów „wszystkich kierunków politycznych, stojących na gruncie państwowym polskim, z udziałem stronnictw ludowych i robotniczych". W zastosowaniu praktycznem, wobec wyraźnej tendencji stronnictw lewicowych do całkowitego zagarnięcia władzy w swoje ręce, program ten redukował się do pozyskania N. Zw. Robotniczego, ewentualnie w przyszłości przedstawicieli b. Zaboru Pruskiego, przedewszystkiem jednak stronnictwa P.S.L. „Piasta". Regenci upoważnili mnie do zakomunikowania tego oświadczenia Kołu Międzypartyjnemu, obiecując w razie dojścia do porozumienia stwierdzenie swej obietnicy na piśmie. Natychmiast udałem się na posiedzenie Sekretarjatu Koła w gmachu Techników i zreferowałem zebranym moją rozmowę z regentami. Po krótkiej dyskusji propozycja Rady została przyjęta, a jednocześnie wybrano delegację Koła w składzie wyżej wspomnianym w celu osobistego porozumienia się z „piastowcami" w Krakowie. Przed wieczorem udałem się ponownie do regentów i zakomunikowawszy im zgodę Koła Międzypartyjnego, otrzymałem dokument, upoważniający nas do układów i potwierdzający zobowiązanie Rady. Poza stroną oficjalną rozmowy omawialiśmy jeszcze skład mającego się utworzyć rządu, ewentualnie osoby, posiadające kwalifikacje do objęcia funkcji prezydenta rady ministrów. Obaj regenci byli stanowczo przeciwni postawieniu na czele rządu p. Wincentego Witosa. Osobiście podzielałem ich zdanie, nie dlatego, abym nie doceniał zdolności politycznych p. Witosa, jak również jego wybitnej zasługi w utrzymaniu prokoalicyjnego kierunku stronnictwa, któremu przewodniczył (np. uchwały krakowskie z dn. 28-go maja 1917 r.), lecz raczej ze względów technicznych. Cały bieg wypadków wskazywał już wówczas jasno, że o nowym ustroju Europy decydować będzie kongres mocarstw koalicyjnych. Równie jasnym był fakt, że przyszły rząd polski czeka wielkie i skomplikowane zadanie obrony przed tym areopagiem naszych interesów oraz walki o właściwe ustalenie granic państwa polskiego. W tym stanie rzeczy prezesem rządu polskiego mógł być jedynie człowiek, gruntownie obeznany z układem wszechświatowych stosunków politycznych, a nadto mający możność brania osobistego udziału w naradach i pertraktacjach kierowników wielkich mocarstw. Tym niezbędnym warunkom osoba p. Witosa nie odpowiadała. Dlatego zastrzeżenia regentów wydały mi się zupełnie słuszne i zgodne z interesem Polski, mogłem więc ich zapewnić, że w ewentualnych pertraktacjach bronić będę ich punktu widzenia.

Tegoż dnia t. j. 6-go listopada wieczorem wyjechaliśmy do Krakowa. Stanąwszy nad ranem na stacji Granica odczuliśmy odrazu wybitną różnicę pomiędzy dwiema okupacjami. Po stronie niemieckiej jeszcze pozorny spokój i surowy wojenny ład, gdy w austrjackiej panowały już chaos i dezorganizacja. Pociągi, krzyżujące się w Granicy, były przepełnione, aż do dachów wagonów włącznie, w jedną stronę uciekającymi z Polski żołnierzami armji austrjackiej, w przeciwną zaś jeńcami wojsk rosyjskich, wypuszczonymi z obozów koncentracyjnych. W bufecie stacyjnym spotkaliśmy znajomych, jadących z Lublina, którzy poinformowali nas, że rząd ludowo-robotniczy lada chwila zostanie utworzony. Wiadomość ta wpłynęła na pewną zmianę naszych projektów. Jadąc w celu tworzenia rządu, musieliśmy posiadać ścisłe informacje o tem, co się w Lublinie działo, stanęło więc na tem, że pp. Czerniewski i Rosset odłączą się od delegacji i stojącym na stacji pociągiem pojadą do Lublina, reszta zaś delegacji, w liczbie czterech, uda się do Krakowa. Ulokowawszy się z trudem w jakimś brankardzie za lokomotywą ruszyliśmy w dalszą drogę. W Trzebini nastroje bezładnej ucieczki jeszcze silniej się uwydatniły. Tam, jeśli się nie mylę, spotkaliśmy p. Głąbińskiego, który wracał z Krakowa do Warszawy z powodu niedojścia do skutku układów z lewicą i ludowcami, o czem już wyżej wspominałem. Dowiedziawszy się, że właśnie w tym celu jedziemy do Krakowa, uzbrojeni w odpowiedni dokument Rady Regencyjnej, zawrócił z drogi i już razem wśród niepisanego zaduchu i ścisku dotarliśmy w popołudniowych godzinach do Krakowa.

(Dok. nast.) MARJAN KINIORSKI

NAJMŁODSZE POKOLENIE PRZEZ PRYZMAT „MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA"

„Słowa powyższe zwracam przedewszystkiem do tych, w których rękach najbardziej pragnę widzieć swą książkę, do młodzieży polskiej. Kształci się ona przeważnie w szkole, która usiłuje zabić w niej wszelką zdolność samodzielnego spostrzegania i myślenia... Nietyle mi idzie o to, żeby czytelnik przyjął moje poglądy, ile, żeby myślał nad poruszonemi przezemnie sprawami".

Z przedmowy do I-go wydania „Myśli".

KIEDY przedstawiciel najmłodszego pokolenia inteligencji polskiej po raz pierwszy weźmie do ręki „Myśli Nowoczesnego Polaka", i dowie się z przedmowy, że książka ta była tematem zaciekłej polemiki i szeregu ataków, a potem przeczyta pierwsze rozdziały, dozna niewątpliwie — rozczarowania[1]).

Cóż może być przedmiotem sporów w tych poglądach? Niema tu rzeczy, któreby dla nas, młodych, były nowe i światoburcze. Odnajdziemy tu tylko elementarz własnych najgłębszych przekonań. Ale to zdziwienie nie trwa długo. Pryska nagle pod wpływem mimochodem rzuconych a oszałamiających słów: „przychodzi czasem chwila, że z wszystkich kątów kraju zjeżdżają się ludzie w celu wysłuchania jednej opery, lub że wypełniająca salę koncertową wyborowa publiczność urządza sobie zbiorowe łkanie".

Z tego zdania wyziera przestrzeń trzydziestu lat. Zbiorowa histerja tłumu na koncercie jest dla nas bardziej bodaj niepojęta, niż szał tańczących derwiszów. I wówczas dopiero, jeśli zestawi się to, co było w Polsce w dobie powstawania „Myśli Nowoczesnego Polaka", z tem, co jest obecnie, zrozumiałe się stanie, że to nie jest zmiana jednego pokolenia, ale zmiana epoki.

Ci wszyscy, którzy dziwią się czasem, że między młodem, a starszem pokoleniem niema całkowitego zrozumienia, powinni zdać sobie sprawę, że między rokiem 1901 a 1931 zachodzi o wiele większa różnica, niż między 1871 a 1901, niż między 1841 a 1871, zmiana chyba tak doniosła, jaka była między 1501 a 1531. Jest to zmiana warunków istnienia i zmiana warunków myślenia.

Postaram się to zilustrować przykładem. W drugiej połowie ubiegłego wieku w odpowiedzi na „Grób Agamenmona" Słowackiego, ułożył ktoś wiersz:

— Tobie, coś niena[illegible] kontusza i pasa.
Powiem, że nasz Reytan w kontuszu wart Leonidasa.

Oto jest obraz poglądów społeczeństwa polskiego zeszłego wieku na czyn obywatelski. Im chodziło tylko o gest. Nam idzie o cel. Czyż można porównywać czyn Leonidasa, który swoją śmiercią dał państewkom greckim czas na zorganizowanie obrony przed najazdem, z czynem Reytana, który położył się na progu sali sejmowej, skąd go natychmiast wyniesiono? Ten kult gestu i cierpiętnictwa jeszcze żyje w Polsce do dziś. Niema go w najmłodszem pokoleniu. I tem się w dużej mierze tłumaczy wśród niego brak oddźwięku dla wspomnień legjonowych, a nawet dla powstań. Bo ono zawsze najpiew pyta się: w jakim celu?

Obcy jest młodemu pokoleniu bezprzedmiotowy kult cierpienia i ofiary. My się raczej wstydzimy cierpieć, a poczucie ulegania przemocy boli nas, jak osobista zniewaga i budzi zawziętą chęć odwetu. Może nie tak myśli starsze pokolenie, ale tak mówią „Myśli Nowoczesnego Polaka": „mają to moralne zadowolenie, że nie krzywdzą nikogo, tylko są krzywdzeni i oni mogą spoczywać biernie w pięknej według nich pozie ofiar gwałtu. . Dla mnie i dla tych, co tak, jak ja myślą, to zadowolenie nie istnieje, dla nas pozostaje jedyna pociecha: jeżeli sile wrogów nie przeciwstawiamy równej, a właściwie, jakby należało, większej siły, to przynajmniej mamy poczucie jej potrzeby i usiłujemy ją z narodu stopniowo wydobyć".

Głęboka zgodność tej książki z życiem młodzieży polskiej nie jest przypadkowa. Swiadomie, lub nieświadomie wychowywaliśmy się na „Myślach Nowoczesnego Polaka". I tu zwrócić należy uwagę na to, że obecne młode pokolenie polskie jest pierwszem od wielu lat dziesiątków, które nie burzy do fundamentów ideałów swoich ojców i nie zaczyna budować wszystkiego od nowa. Jest to pokolenie, które buduje na fundamentach, założonych przez twórców ruchu wszechpolskiego, pierwsze pokolenie wychowane w jasno uświadomionych ideach i celach. Ale jednocześnie jest to pokolenie, wychowane w najbardziej różnych warunkach od warunków życia swych poprzedników, pokolenie żyjące po tej stronie przełomu dziejów naszej kultury. Dlatego też młode pokolenie, przy jedności celów, różni się zasadniczo od starszego pokolenia narodowców strukturą psychiczną. I może właśnie ta odmienność wewnętrzna jest jedną z głównych przyczyn jedności celów. Żeby wyjaśnić ten pozorny paradoks trzeba się zastanowić na istotą różnicy między tem, co było cechą zasadniczą pokolenia z przed lat 30, a tem, co jest zasadniczym rysem charakteru obecnego pokolenia młodych.

Przedewszystkiem zniknął gdzieś szlachecki hyperindywidualizm. Wśród młodzieży niema tych, tak licznych dawniej proroków, burzących własną myślą świat, niema rozbicia na drobne, indywidualistyczne grupki. Tendencją zasadniczą jest skupianie się licznych rzesz około jednych celów i te tylko organizacje liczyć mogą na powodzenie, które potrafią wytworzyć silną hierarchję i karność, zaimponować siłą i zwartością ideową. Niema dzisiaj tego, że „pierwszy lepszy niedouczek uznaje się za wyższego nad sprawy dzisiejsze, prywatne i publiczne, i wypełnia sobie życie koszlawem filozofowaniem".

[1]) Ogłaszamy poniżej artykuł przedstawiciela młodzieży akademickiej, redaktora „Akademika Polskiego" stanowiący bardzo interesującą informację o nastrojach i prądach umysłowych, przeważających w chwili obecnej w najmłodszem pokoleniu, studjującem jeszcze na wyższych uczelniach. (Przyp. Red.)

Stawia się niejednokrotnie zarzut młodemu pokoleniu, że brak w niem jednostek szczególnie wybitnych. Istotnie do tej pory z pokolenia tego wyszło wielu ludzi o niewątpliwych zdolnościach administracyjnych, czy nawet filozoficznych, ale przed oczyma społeczeństwa nie zarysowała się w niem jeszcze dotąd sylwetka — wodza. Nie należy jednak zapominać, że najstarsi przedstawiciele tego pokolenia ledwie przekroczyli trzydziestkę. Pozatem jest druga przyczyna, znacznie ważniejsza. Ze społeczeństwem jest jak z armją. W warunkach pierwotnego, niezdyscyplinowanego życia i prostej techniki wodzowie pojawiają się łatwo i w młodym wieku. Nie mając potrzeby zbyt wielkiego przygotowania, szybko się wsławiają, ale też często degenerują. W warunkach wysokiej techniki wódz musi posiadać wielki zasób wiedzy. Pojawia się on w znacznie późniejszym wieku. Niewątpliwie Foch musiał posiadać znacznie więcej wiedzy od Aleksandra Macedońskiego. „Im społeczeństwo więcej posunięte jest w rozwoju, im więcej jest społeczeństwem, tem mniej jednostka w stosunku do innych członków społeczeństwa jest, czem chce być, a tem więcej, czem być musi".

Wślad za karnością i zanikiem wybujałego indywidualizmu idzie inna zmiana zasadnicza. Młode pokolenie jest twarde i realistyczne. I tu przypominają się słowa „Myśli Nowoczesnego Polaka". „Polacy z innych dzielnic, spotykając się z Poznańczykami, przykro bywają nieraz dotknięci ich poglądami na życie, ich odmiennemi wprost zasadami etycznemi, razi ich suchy realizm, twardość i nawet w pewnej mierze nielitościwość w pojmowaniu spraw życia". Czyż nie to samo często mówią przedstawiciele starszego pokolenia po zetknięciu się z młodzieżą? I jest rzeczą charakterystyczną, że naogół młodemu Warszawiakowi łatwiej się porozumieć ze starym Poznańczykiem, aniżeli ze starym Warszawiakiem.

Niewątpliwie zatraciliśmy wiele z dobrego wychowania dawnej inteligencji polskiej. Zatraciliśmy jej idealizm powierzchowny, bo dla nas idea ma być czemś, o czem się nie mówi dla efektu, ale o czem się myśli w najdrobniejszych sprawach życiowych. Przykładem realizacji idei może być stosunek młodzieży do Żydów. Nietylko narodowcy zerwali z nimi wszelki kontakt, wykluczyli ich poza nawias wszelkich stowarzyszeń młodych, ale wytworzyli ten nastrój, że dziś przyjaźń młodego Polaka z Żydem jest czemś niemal nie do pomyślenia. Ten stosunek zmuszeni byli przyjąć nawet ci, którzy są idei narodowej wrodzy. A te związki młodzieży, które się z pod zasady seperacji absolutnej od Żydów wyłamują, są dzisiaj w zaniku i kroczą szybko ku zupełnej likwidacji, z wyjątkiem jedynie komunistów.

Innym zarzutem wobec młodego pokolenia jest twierdzenie, że niema ono żadnych wyraźnych ideałów, żadnego programu przyszłej Polski. Jest to tylko niezrozumienie: „Tym sposobem tu przeciwstawiają się sobie nawzajem dwa przeciwne sobie typy charakteru i rodzące się z nich dwa wyłączające się nawzajem ideały społeczne. Z jednej strony charakter bierny, z drugiej czynny, z jednej marzenie o szczęśliwym stanie społeczeństwa, w którym spokojnie będzie można zażywać wolności i innych dóbr ziemskich, z drugiej dążenie do jaknajszerszego pola działania, do osiągnięcia warunków, w których naród będzie mógł rozwinąć wszystkie swe siły, wszystkie zdolności. Jeden pogląd rodzi programy statyczne, mówiące, co się chce mieć, drugi dynamiczne — mówiące, co się chce czynić".

Nasz program jest dynamiczny. Nie wierzymy w żaden ustrój idealny, ani w doskonałość natury ludzkiej, wierzymy tylko w d ą ż e n i e d o d o s k o n a ł o ś c i. I dlatego główny nacisk kładziemy na momenty wychowawcze.

Już od czasów reformacji, bodaj młode pokolenia w Europie wierzyły w niezmożoną potęgę ustroju i wszystkiego złego dopatrywały się w złych prawach. My nie szukamy rozwiązania trudności społecznych w czynnikach zewnętrznych. O wartości obywatela nie decyduje, czy będzie on szczęśliwy, ale czy będzie uczciwy. A tak pojmując program dynamiczny, zrozumieliśmy, że jesteśmy katolikami. Jak z jednej strony wychowanie narodu bez tej zbroi duchowej, jaką daje religja, jest niemal niemożliwe, tak z drugiej w dzisiejszych czasach tylko silna organizacja narodowa, na głębokiem poszanowaniu tradycji oparta, zdolna jest społeczności ludzkiej zapewnić trwałe i powszechne oparcie życia na fundamentach religijnych, zapewnić zdrowie moralne na długi szereg stuleci.

Nie mam tu miejsca na głębsze analizowanie tego zjawiska powrotu młodzieży do religijności, zaznaczyć tylko chciałbym, że założenia „Myśli" pchnęły w dalszej konsekwencji zarówno ich autora, jak i całe na nich wychowane pokolenie do przywrócenia religji na należne jej w życiu narodu miejsce. Katolicyzm młodego pokolenia może mieć bardzo daleko idące następstwa w dziedzinie programu politycznego, nawet gospodarczego. A nie należy zapominać, że to jest dopiero początek drogi. Koło historji od tak dawna już poruszające się w jednym kierunku, zaczyna obecnie zawracać w kierunku wprost przeciwnym.

Jakaż jest przyczyna tego zaniku hyperindywidualizmu i powrotu do karności, tej twardości i „poznańskości" młodego pokolenia, jego religijności i realizmu?

Przed czterystu laty silne, realistycznie patrzące na świat społeczeństwo polskie, znacznie bardziej zachodnie, niż w późniejszych epokach, przeżyło trzy wielkie przemiany: związanie się z mało wyrobioną społecznie, półstepową ludnością szerokich obszarów wschodnich, złamanie znaczenia miast, a wślad za tem napływ mas żydowskich do Polski i najazd reformatorów religji i moralności z Europy zachodniej. Te trzy przyczyny przerobiły zupełnie duszę polską, narzuciły jako typ dominujący nad życiem narodowem szlachcica, nie uznającego pozornie żadnych autorytetów, społecznie zwyrodniałego, samowolnego.

Typ ten, mając w społeczeństwie niepodzielną władzę, był indywidualistą w tym sensie, że nie uznawał żadnej hierarchji nad sobą duchowej ani społecznej, lecz nie wydawał ze siebie, silnych indywidualności, które wyrabia tylko walka.

Ale w nowych warunkach życia typ ten zaczyna niknąć. Okazał się o wiele więcej powierzchownie narzucony, niżby się to wydawać mogło. Pierwsza otrząsnęła się zeń Wielkopolska przedwojenna. Szeregi młodej inteligencji polskiej zostały zasilone ludźmi z ludu, jeśli nie w pierwszem, to drugiem, lub trzeciem pokoleniu. I z tą chwilą opadł kilkuwiekowy nalot szlachetczyzny w stylu wschod-

nim i naród polski powraca do tego, czem był niegdyś. Obrazem tego nawrotu jest młode pokolenie.

Nie jesteśmy indywidualistami z epoki upadku Rzplitej. Tępimy liberalizm, mający u nas zawsze posmak przysłowia: „W Polszcze, jak to chce“, nie wierzymy we wszechpotężną moc ustrojowych form, mamy wstręt do herezyj ideowych, wracamy ku temu, co było w średniowieczu—ku Polsce krzepkiej, karnej, ortodoksyjnej, bojowej, oczami zwróconej na zachód, ku Polsce zdobywającej. Tak nam nakazuje nasza psychika i nasze położenie zewnętrzne. „Nasza nawa narodowa zmuszona będzie żeglować po burzliwych morzach — musimy tedy opatrzeć jej wiązania, dać jej ster pewny i w silną dłoń go ująć. Musimy stworzyć rząd w narodzie i zdobyć dla niego ogólny posłuch“.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

POWRÓT RZYMIAN

(Dokończenie)

WIERZĘ tedy temu, co mówiłem, i co wszyscy moi rodacy mówili przez pięć, lub sześć lat, mianowicie, że w całej tej historji nie można się dopatrzeć żadnego sensu, dopóki się nie powie, że faktycznie wojnę wywołały Prusy. Przypuszczenie, że to Austrja podniecała Prusy, lub że je popchnęła do czegoś, czego one sobie nie życzyły, wydaje się warjackiem i nie do wiary dla każdego, kto wie, jak się ustaliła Europa po Sadowej i Sedanie. I wobec tego nie uznaję, przynajmniej w jej całości, tego, co nazwałem trzecią, lub wschodnią teorją wojny. Nie przypuszczam, żeby jej ostateczną przyczyną był antagonizm do Słowiańskiej Ortodoksji w samej tylko Austrji, ponieważ nie wierzę, żeby tak gigantyczne zadanie mogłoby kiedykolwiek być podjęte przez samą Austrję. A gdy zwrócimy się do sojuszników Austrji, to zwracamy się również do innych wyjaśnień. I specjalnie do wyjaśnienia czwartego, którego dotychczas nie podałem, a które teraz sprobuję opisać i obronić.

Pogląd ten był bardzo słabo rozpowszechniony, a przynajmniej mało podkreślany w Anglji. Nie przypominam sobie nikogo ze zwykłych dziennikarzy, z wyjątkiem Belloca, mego brata Cecila i siebie samego, ktoby upierał się przy nim, chociaż pogląd ten był podzielany przez wielu uczonych spokojniejszego typu, jak prof. F. Y. Eccles, i mógł się poszczycić w przeszłości inspiracją tak bardzo ludzkiego i tęgiego uczonego, jak sir Arthur Quiller-Couch. Był on oparty na poglądzie, wypowiedzianym przez tego ostatniego w znakomitej rozprawie p. t. *„Antiquam Exquirite Matrem“*. Niejednokrotnie zaś wypowiadano go zagranicą, a najlepiej może w dwóch przypadkowych zdaniach francuskich, które tu przytoczę. Zdania te streszczają tę teorję wojny dla rozumiejących, lecz obawiam się, że w dzisiejszej atmosferze okaże się potrzeba bliższego ich tłumaczenia. Pierwsze zdanie wypowiedziano, gdy jeden z dyplomatów francuskich w pierwszych dniach wojennego starcia rzekł: „we wszystkich cywilizowanych krajach słychać teraz ponownie stary okrzyk „precz z barbarzyńcami“! A drugie wypowiedziane było z okazji przystąpienia Włoch do wojny, zdaje mi się przez prezydenta senatu francuskiego: „jak starożytni augurowie, śledzący loty ptaków, rozważamy i witamy lot orłów Rzymskich“.

Zasadniczo teorja ta sprowadzała się do tego, że Europa cierpiała na to, iż stała na głowie. To znaczy, że głowa była na spodzie, a pięty na górze. Pięty te były świetnie obute, zaopatrzone w doskonałe ostrogi i znakomicie wykonywały ćwiczenia w wierzganiu, lub maszerowaniu gęsim krokiem w próżni; były to rzeczywiście znakomitości w swoim rodzaju, ale nie były przeznaczone do tego, żeby być na górze; nie były to członki, których przebywanie na górze mogło napełniać zaufaniem, a tymczasem były istotnie na górze. Natomiast głowa Europy, naturalne duchowe i intelektualne przewodnictwo, przebywało w prochu, w błocie nawet i było ustawicznie podawane w pogardę jako brudne. Oto, mówiliśmy wtedy, położenie, które musi wywołać jakąś rewoltę i wywrót i jeżeli nie wszyscy to widzieli, to dlatego, że zapomnieli już, czem to przewodnictwo zawsze było dla nich samych, jak i dla każdego innego. Jednego słowa tylko trzeba na wyrażenie tego; jest to słowo, które pożyczyliśmy i podnieśliśmy z najniższego szczebla amerykańskiej inteligencji, czy też nie inteligencji, dziś modne i popularne w Anglji słowo *„dago“* [1]).

Historyczne skojarzenia, łączące się z tem wyrażeniem są bardzo zabawne. *„Dago“*, mówiąc ogólnie, jest to członek tych ciemniejszych ras, które skolonizowały Amerykę południową i których ojczyzny należy szukać na półwyspach morza Śródziemnego. Głównemi charakterystycznemi cechami *„dago“* są sztylety, łachmany, romantyczne namiętności, niedbała postawa, czosnek i gitary. Zaopatrzone w te przedmioty, osobniki, o których mowa, wytwarzają nieustanne zamieszanie, zupełnie nieproporcjonalne do ich znaczenia, czyli innemi słowy do ich bogactwa, i stanowią okropną udrękę dla solidniejszych społeczności, które poznały Panowanie Pr. episu. Dość już dawno temu np. banda tych *„desperados“* wszczęła rozpaczliwą rozprawę nożową, po której jeden z nich został na placu martwy, a reszta była ścigana przez przyjaciół zabitego w typowej wendecie. Ten ponury wypadek rozdmuchiwano potem i uczyniono nawet treścią dramatu, lub melodramatu, aż póki każde dziecko nie dowiedziało się, że zabity nazywał się Juljusz Cezar, a ten, kto go pchnął, mienił się retorycznie jego przyjacielem. Inne jeszcze wydarzenia, podobnie ciemne i sensacyjne, pochlebiły niestety próżności *„daga“*; jeden z *„dagów“*, pochodzący z brudnej małej wysepki, uciekł w świat i przystał do żołnierzy, jak wielu podobnych nicponiów i narobił w całej Europie niemało zamieszania, aż wreszcie kryminalna jego karjera skończyła się pojmaniem i uwięzieniem na św. Helenie. Jest jeszcze inna brzydka sprawa pewnego zbiegłego żołnierza, który reklamował się w nadzwy-

[1]) *„Dago“* jest to pogardliwe przezwisko, dawane przez ulicę amerykańską imigrantom romańskiego, śródziemnomorskiego pochodzenia.

czaj pyszałkowaty sposób, a szczytem jego bezczelności było faktyczne odkrycie Ameryki. Często mówi się, że właściwie to odkrycie należałoby zatuszować. Lecz słuszność wymaga przyznać, że Brytanję odkrył również jeden z *„dagów“*; może i to należy zatuszować. Wogóle świadczyłoby to niewątpliwie o lepszym guście, gdyby *„dagowie“* zatuszowali wszystkie sprawy, jakich dokonali w historji, tylko gdyby istotnie tak zrobili, to z historji nie wiele by pozostało... Nie potrzebujemy dłużej zostawać przy tym niesmacznym temacie; lecz mówiąc o łachmanach, wystarczy wspomnieć, że był istotnie niegdyś jeden przynajmniej *„dago“*, który rzeczywiście utrzymywał, iż woli być biednym. Mieszkał on w Asyżu, a biskup Barnes uważa, że podobny sposób życia w Birmingham byłby zupełnie, ale to zupełnie niewłaściwy.

Obawiam się, że znalazłszy legendę o brudnym i smagłym *„dago“*, tak nieodpowiadającą jego roli w południowej Europie, wielu z nas ośmieli się zwątpić o jej słuszności w stosunku do południowej Ameryki. Jeżeli ktoś uważa, że wszystko tam jest godne pogardy w tym chaosie drobnych republik, wstrząsanych przez rewolucje, to powinien rozszerzyć swą pogardę również na całą Helladę z czasów Peryklesa i na Italję z czasów Dantego.

Krótko mówiąc, jest to wszystko nonsens, nie ludzki, a historyczny nonsens. Przez całe tysiąc lat, aż do ostatnich czasów, wszystkie narody Północy żyły radośnie kulturą, która przyszła z Południa, a kultura ta przychodziła z Rzymu, lub ze starego międzynarodowego terytorjum Rzymu. Nie miało to nic wspólnego z politycznem poddaniem się Rzymowi; przeżyło też na długo religijne odseparowanie się od Rzymu. Nie było w tem nic zawstydzającego, jak podbój, było zaś coś, z czego ludzie są dumni, jak edukacja. Nie wstydziliśmy się tego więcej, niż Amerykanie wstydzą się tego, że są białymi z Europy, a nie czerwonymi z Ameryki, lub czarnymi z Afryki. Nie czuliśmy się tem znieważeni więcej, niż chrześcijanin czuje się znieważonym istnieniem Ziemi Świętej. Było to coś uznanego i czczonego. Bayard był Francuzem, sir Philip Sidney był Anglikiem, podziwu godny Crichton był Szkotem i nikt nie podawał w wątpliwość ich lojalności względem ich krajów. Gdy jednak tych mężów sławiono, to najwyższym stopniem pochwały było powiedzieć, że byli niewzruszeni jak Katon, śmiali jak Cezar, lub cnotliwi jak Trajan. Nie było innego rodzaju chwały, później dopiero wynaleziono, żeby uczynić zadość nordycznej bajdzie o naszem czystem pochodzeniu od Hengista i Horsy..

(Tu autor przytacza liczne dowody z literatury i folkloru angielskiego, świadczące o szerokiem i głębokiem zasięgu kultury romańskiej w Anglji).

Ta romantyczna legenda romańska, będąca podłożem wszystkich legend narodowych, była najważniejszem ze zjawisk istotnych na świecie niemal aż do naszych czasów. Była ona przedmiotem dumy zarówno ludzi Północy, jak Południowców, protestantów jak i katolików, była truizmem dla rewolucji francuskiej, tak samo jak dla Odrodzenia włoskiego. Wtem zaczęło się dziać coś, co sprowadziło wszystko zło w świecie nowoczesnym, i ostatecznie doprowadziło do Wielkiej Wojny. Jak we wszystkich wielkich i oczywistych sprawach, trudno i w tej ustalić, kiedy się poczęła. Może się to zaczęło w chwili, gdy sojusz przeciwko Fryderykowi Wielkiemu doznał porażki, może wtedy, gdy koalicja przeciwko Napoleonowi odniosła sukces. Rewolucja przemysłowa ma z tem wiele styczności; ekspansja bardziej purytańskiej Anglji w Ameryce odegrała może taką samą rolę; kolonjalne i handlowe powodzenia Anglji uczyniły wiele, chwilowy, lecz gwałtowny wojskowy sukces Prus sprawił więcej. Dość, że zjawiło się w świecie nowe pojęcie, które można nazwać pojęciem Nowych Narodów. Zasadzało się ono na twierdzeniu, że stare centra, jak Rzym, umarły bezpowrotnie jak Niniwa i że potęga przechodziła stale do innych ośrodków, coraz nowszych i ogólnie biorąc coraz bardziej wysuniętych na północ. Jak wszystkie fałszywe uogólnienia, tak i to może się powołać na pewien szereg pozornie przekonywających wydarzeń. Potęga przeszła z Egiptu do Grecji, z Grecji do Rzymu, z Rzymu do Hiszpanji, z Hiszpanji do Francji, z Francji do Anglji, a teraz przechodzi do Niemiec lub Ameryki w zależności od tego, czy filozof jest Hunnem czy *Yankes*'em. Ogólna teorja brzmiała, że nowej potęgi należy szukać na północy i w szczególności w klimacie surowszym, aczkolwiek czas na Szpicbergi i na ogłoszenie się za Nadludzi przez Eskimosów jeszcze nie nadszedł.

Teorja Nordyczna znalazła poparcie w teorji Teutońskiej. Większości z nas przyznano fałszywe pochodzenie moralne, coś w rodzaju podrobionej metryki, dokument zaprzeczający całej naszej literaturze i żywym tradycjom. Powiedziano nam, że kultura nasza nie idzie od Krzyża, który każdy widzi, lecz od Młota Thora, którego nikt na oczy nie widział. Powiedziano nam, że żywot Anglji rozpoczął się od Wikingów, gdy zgodniejsze z prawdą byłoby twierdzenie, że uszła z życiem, wytępiwszy Wikingów. Cały naturalny prąd tradycji z Rzymu na resztę świata schowano i zablokowano, a zaimprowizowano prąd przeciwny, wmawiając, że wszelkie wzniosłe impulsy napływały od nordycznych barbarzyńców, jak ciepłe i miłe prądy morskie, idące od Bieguna Północnego. Taki oto był sens historji, jakiej za czasów mej młodości uczono wszystkich Anglików, prawie wszystkich Amerykanów i oczywiście wszystkich Niemców i Skandynawów. A po pruskim trjumfie nad Paryżem, pogląd ten padł na całą Europę i wcisnął się do pewnego stopnia na południe, przynajmniej negatywnie, jako poczucie niższości, lub porażki. Jednem słowem, coś się załamało czy też czegoś zabrakło w umyśle obywatela Europy i respekt dla Rzymu zniknął. W świecie wyobraźni zaczęto traktować Rzym nie tylko jako ruinę, lecz jako śmietnik, przeszukiwany, przewracany i konserwowany wprawdzie zarówno przez estetów jak i wandalów, ale śmietnik. Morze Śródziemne przestało być Morzem Centralnem, stało się mniej lub więcej malowniczym stawem w ogrodzie na tyłach, którego nikt nie był ciekaw. Latynowie stali się jakimś zbytkownym a pozbawionym pieniędzy przeżytkiem, pozostałością rozwiąźlejszego wieku, niezdolną do wysiłku i niesprawną, zdatną jedynie do gestykulowania nad katarynkami i wózkami z lodami. To był powszechny ton, wpajany przez gadanie i nauczanie w XIX wieku. Znam to, gdyż wzrastałem wśród tego. Było to powszechne, systematyczne i szczególnie dumne ze swej „naukowości“. A tymczasem każdy zastanawiający się człowiek, każdy tradycjonalista, każdy prawdziwy Europej-

czyk i prawdziwy Anglik, wiedzący, co ożywiało angielską literaturę i ideały, czuł przez skórę, że to jest całkowicie fałszywe.

Nie mogło być prawdziwe, żeby nasza macierz była taką marną rozpustnicą, to, co nas nosiło w łonie, tak jałowe, a to, co nas stworzyło, tak nietwórcze; żeby to, co wydawało się największe wszystkim największym naszym rodakom, mogło być drobne dla paru niedopieczonych junkrów pruskich. Wszystko to był fałsz. Buty umieszczono nad mózgiem, buty deptały mózg; barbarzyńcy urągali swoim nauczycielom i naturalnie nie byli wówczas dostępni dla żadnej nauki. Właśnie reakcja przeciwko „nowobogackim" Europy, przeciwko pruskiemu dorobkiewiczowi i jemu podobnym, patrzącym zgóry na kulturę łacińską, ta reakcja była najgłębszą siłą pędną Wielkiej Wojny. To właśnie uczucie, głębokie, instyktowne, często nieświadome napełniało tych, którzy uważali, że cel wart jest rozdzierających serce ofiar, jakiemi wojnę wygrano. Nie tylko brytyjski imperjalizm, nie tylko francuski nacjonalizm, nie tylko, jeżeli wogóle wchodził w grę, rosyjski panslawizm... W każdym, poczuwającym się do obywatelstwa cywilizacji, było coś, co mu przypominało, z jakiego języka samo słowo „*civis*" pochodzi.

Oto jest czwarta teorja wojny; i mało było tych, którzy do niej doszli. Zwracam czytelnikowi uwagę na ciekawy fakt, tyczący się tych czterech teoryj. Jeżeli weźmiemy pod uwagę każdą z pierwszych trzech, wojna była klęską nawet tam, gdzie była sukcesem. Była pobiciem zdobywców. Była stratą wygrywających. Nie nastąpiły po niej żadne ze skutków, jakich można było rozsądnie oczekiwać. Gdyby to była tylko gra o brytyjski handel i dobrobyt, napotykający na swego rywala w Niemczech, to należało oczekiwać, że handel brytyjski wzrośnie w miarę, jak brytyjski oręż przeważył. Należało oczekiwać *haussy* w Brytanji, idącej za załamaniem się rywala. W rzeczywistości wszyscy wiemy aż nadto dobrze, że jeżeli kochana stara Anglja poszła na wojnę dla bogactwa, to dostała bardzo mało z niego. Tak samo, w nieco mniejszym stopniu, można powiedzieć, że Francja dostała bardzo mało. Pewniejsze jest to, że Niemcy zostały osłabione, niż to, że Francja została wzmocniona. Co dostała Rosja, wiemy wszyscy. Otrzymała klęskę, załamanie się, anarchję i antynarodowe eksperymenty komunistycznych Żydów.

Tak oto we wszystkich tych trzech wypadkach mamy niezwykłą koncepcję wielkiego mocarstwa, walczącego z kimś o coś, zwyciężającego i nie dostającego tego, o co walczyło. Na korzyść czwartej, niepopularnej teorji da się powiedzieć, że jest ona jedyną, w której wyniki walki dają się sensownie pogodzić z przyczynami.

Jeżeli były to Niemcy przeciw Brytanji, Brytanja została prawie tak samo osłabiona, jak Niemcy. Jeżeli to były Prusy przeciwko Francji, to Francja była prawie tak samo powalona, jak Prusy. Jeżeli była to Austrja przeciw Rosji, to Rosja została tak samo zrujnowana, jak Austrja. Lecz, jeżeli było to coś starszego i bardziej centralnego, położonego na południu, w centrach naszej cywilizacji, wtedy konsekwencje nie będą wcale tak nie konsekwentne. Był to, jak to nasza szczupła grupa utrzymywała, w najgłębszej istocie sprawy poprostu Rzym, otrząsający z siebie barbarzyńców — i nikt nie może powiedzieć, że Rzym został zrujnowany narówni z barbarzyńcami, gdyż Rzym najwidoczniej zmartwychwstaje.

Oto jest wyjaśnienie tego radosnego nastroju Włoch po wojnie, stanowiącego jedną z tajemnic powojennej Europy. Ze wszystkich, którzy wynurzyli się z tej ciężkiej próby trjumfująco, jedynie Włosi mają trjumfujący wygląd. Nie jest temu przyczyną ani sam tylko Mussolini, ani wyłącznie faszyzm: było to już przed ich ukazaniem się. Ja sam byłem we Włoszech w rok po wojnie, przejeżdżając jako turysta, jednak nawet pobieżny rzut oka odnajdywał tam rzeczy, w innych krajach sprzymierzonych niewidziane, np. napisy na murach, często nieortograficzne, lecz zawsze tej samej treści — „*Italia vittoriosa*". Włosi cierpieli tak samo, jak i inni, z powodu rozmaitych braków, a więcej, niż inni, z powodu anarchji. Byli w beznadziejnym rozstroju, lecz za to w pełnym nadziei nastroju. I aczkolwiek nigdy nie można dowieść tych nieuchwytnych drgnień psychicznych, myślę, że podana przyczyna tego zjawiska jest prawdziwa. Pewien naród uczuł, że spadł z niego pewien ciężar. A narodem był naród starej cywilizacji, wyśmiewany przez wieki za brak jedności i rozkład, lecz ciągle pamiętający podświadomie o tem, że był niegdyś nietylko panem, lecz twórcą tego świata. Ciężarem zaś było brzemię faktycznej przewagi Północy, twierdzenie, że jedynie Niemcy i nowe kraje osiągają postęp i dobrobyt. Wszyscy myśleli, że centrum ziemi przesunęło się z Rzymu do Berlina, tak, jak w swoim czasie sądzono, że się przesunęło z Rzymu do Bizancjum. Lecz w obu razach właśnie nowa stolica zawaliła się i świat powrócił do Rzymu.

We współczesnym nam wypadku był to nietylko upadek Nowego Miasta, lecz również upadek Nowej Teorji. Było to zakwestjonowanie całej nowoczesnej koncepcji w sprawie nowych miast. Koncepcja ta głosiła, że postęp zawsze „postępuje" do nowych miejsc i zaczyna się na nowo przy każdej nowej nazwie. Twierdzono, że Nowy Jork musi być lepszy od Jorku, Nowa Anglja lepsza od Anglji, Nowy Orlean ma zawsze lepsze widoki niż Orlean, a Nowa Szkocja musi zawsze wyprzedzać Szkocję Szkotów o sto lat w rzeczach kultury i filozofji. Było to twierdzenie, że cywilizacja jest koczownikiem lub jak postępowcy wolą mówić, wiecznie w drodze. Teorja ta zwróciła myśli ludzkie w XIX stuleciu ku nowym krajom i kolonjom, jako jedynie możliwym punktom wyjścia nowych ruchów. Teorja jest fałszywa i najważniejszym rezultatem Wielkiej Wojny było to, że wykazała ona ten fałsz. Jak wszelka teorja, może i ta podać pewne przykłady zgodności z prawdą, lecz z tego nie wynika, żeby reprezentowała dzisiejszą faktyczną tendencję zjawisk. Gdyby starzy postępowcy nie byli zaślepieni przez uprzedzenie, musieliby spostrzedz, że po wojnie nastąpiło właśnie obudzenie się do życia dawnych miejsc, powrót do dawnych świątyń. Warszawa jest znów Warszawą, a Kraków jest nawet starszy, a więc i młodszy od Warszawy. Europa jest obecnie pełna rzeczy z wczesnego Średniowiecza: stare królestwo Czech, stara izolacja Węgier, stare państwo Serbów. A gdy zajrzymy do gazet, żeby dowiedzieć się, co się w świecie dzieje, to nawet gazety nie potrafią ukryć przed nami tego, że znów jest walka w Jerozolimie i znów porządek w Rzymie.

Jedynie stare rzeczy mają przed sobą przyszłość. Zbliża się wicher śmierci, któremu się ostoi tylko to,

co ma wieki trwania za sobą. Nie są to modne i zwykłe zdania w czasach, kiedy powierzchowne gadania i czułość dla nowych kodeksów, nowych krajów i nowych kolonij wypełniają tyle miejsca w gazetach, że brakuje go na wiadomości o tem, co się istotnie na świecie dzieje. Lecz są one w świetle historji tak prawdziwe, że sami adwokaci nowości muszą się uciekać do proroctw. A z pewnością są one prawdziwe w stosunku do historji Rzymu, którego głębokie korzenie trzymają się mocno ziemi, kiedy inne, nowsze i lżejsze posiewy, zostały precz zdmuchnięte. Zrobiono wszystko, żeby przenieść Rzym z Rzymu. Zabrano Cezara, lecz został Papież. Zabrano Papieża, lecz Papież powrócił. Pierwsze usiłowanie nie mogło zrobić nowego Rzymu w Bizancjum, późniejsze nie zrobiło nowego Rzymu w Avignonie. Pierwsze miało za sobą wielką cywilizację Greków, drugie wielką cywilizację Francuzów. Imperatorowie greccy myśleli, że łatwo mogą go przesunąć na wschód, jak królowie francuscy sądzili, że łatwo przesunąć go na zachód. A nowe Cesarstwo i Nowe Narody są upośledzeni przez to, że są młodzi, co w tych rzeczach wróży młodą śmierć. Rzym jest skałą, nie łatwą do ruszenia, i w ciągu zaledwie kilku stuleci widział on Monarchję Francuską, pogrążone przez Jakobinów, tak jak widział Imperjum greckie, pogrążone przez Islam.

Trzykrotnie więc w czasach tu przez nas rozpatrywanych przeszedł nad Rzymem w ruinie cud, który obudził martwych. Rzym stał się, materjalnie biorąc, opuszczoną djecezją, lecz opuszczony, pogardzany i opanowany powstał i stworzył nowe Cesarstwo. Rzym był jeszcze bardziej opuszczony w epoce awinjońskiej, lecz odżył. A teraz w naszych oczach taki sam proces wskrzeszania wzbił i przeobraził proch; nowoczesny szał, zdrada i anarchja sprowadziły napowrót już nie, jak dawniej, stare posągi rzymskie, lecz dawnych Rzymian.

Wiem, że zdanie to jest gwałtowne, lecz użyłem go, gdyż i samo przeobrażenie było gwałtowne. Wiem wszystko, co można powiedzieć przeciwko tej gwałtowności i przeobrażeniu i powiem na innem miejscu, jakie uczyniono zło i co zniszczono z tego, co powinno być zachowane. W tej chwili jestem tylko świadkiem z tłumu, dającym świadectwo cudowi. Widziałem ludzi wdrapujących się na strome głazy Kapitolu, niosących orły i labellum, jakie noszono przed Marjuszem i Pompejuszem i nie wyglądało to na bal kostjumowy. Widziałem las rąk ludzkich podnoszących się do pozdrowienia o trzy tysiace lat starszego od wszystkich pozdrowień nowoczesnych armij, i było to, jak gest naturalny, nie maskarada. Widziałem wielki i sławny naród, rozdzierany przez wieki wspaniałemi namiętnościami, cierpiący zawsze przez podział i rozbieżność, pochodzące właśnie ze szlachetności tych pasyj — dziś opanowany solidnie i widocznie w świetle dnia przez starożytną pasję ludzką, zapomnianą od wielu wieków, pasję porządku. Nie jest to tylko dyscyplina, która może być nauczona i narzucona, nie jest to ta przygniatająca reglamentacja, jaką pedanci „naukowo zorganizowanych" państw chcieliby narzucić stadom, od których sami stoją na stronie; jest to objaw powszechnego gustu i radosnej woli. I nie wydaje się to sprzeczne z republikańskiemi wspomnieniami tamtej stromej drogi gdyż oblicza tych, co niosą owe orły i fascia, nie są to chytre i wytarte twarze dzisiejszego motłochu, lecz raczej twarze tych starych popiersi rzymskich, jakie napróżno usiłowaliśmy wywieść i przypomnieć sobie, gdy dostrzegaliśmy je u żebraków Neapolu, lub kelnerów w Soho. Jednem słowem, o ile człowiek może w jednem zdaniu dać wyraz temu, czego doświadczył — widzieliśmy powrót Rzymian.

GILBEST KEITH CHESTERTON

SZARA EMINENCJA

W NUMERZE 17 tygodnika belgijskiego „*La révue catholique des idées et des faits*" p. Henri d'Yvignac przedstawia życiorys ciekawej, a mało znanej postaci historycznej, Ojca Józefa kapucyna, który odegrał w latach 1623—1638 olbrzymią rolę w dziejach Francji, wychowywanej i prowadzonej żelazną dłonią Richelieu'go [1]), Warto dziś i w Polsce poznać dzieje O. Józefa, wzoru męża stanu, który nie zrobił błyszczącej karjery, nie zdobył majątku na polityce, chociaż trząsł pospołu z kardynałem Richelieu królestwem francuskiem, chociaż zmienił z nim pospołu mapę Europy. Piękna to i ciekawa postać człowieka, który przez lat 21, aż do chwili śmierci na posterunku, służył wiernie swej ojczyźnie, królowi i Kościołowi, stwarzając swem przezwiskiem „Szarej Eminencji" nowe pojęcie w słowniku politycznym.

Znana jest historja, jak Armand du Plessis de Richelieu zawładnął słabym umysłem nieudolnego syna wielkiego Bearneńczyka [2]) i pokierował nim na chwałę Francji. Już w 1617 roku notuje Richelieu wzmiankę o mnichu, który mu „daje dobre rady". Od 1623 roku O. Józef jest już stale na dworze, skierowany tam potrójnym rozkazem: kardynała, generała kapucynów oraz nuncjusza, a również, jak można przypuszczać, swym własnym temperamentem politycznym. Został tam przez trzynaście lat ciężkiej pracy i walki, w ktorej szedł zawsze u boku swego przyjaciela-kardynała, w zupełnej zgodzie i harmonji poglądów.

Ze swej władzy Ojciec Józef nie brał nic dla siebie, pozostał, jak był, ascetą. Jeśli go historyk francuski Henri Martin nazywa „kapucynem - ministrem kardynała - króla", to dodać należy, że współpracownik Richelieu'go żył jak kapucyn, a nie jak minister. Często książęta zagraniczni, zabiegający o rozmowę, musieli szukać mnicha w tym lub owym klasztorze na przedmieściu, gdzie właśnie wygłaszał kazanie lub ćwiczył się w umartwieniach.

[1]) Jest to część pracy p. d'Yvignac, która wyjdzie wkrótce z druku nakładem: „*Edition du Dauphin*" w Paryżu jako pierwszy tom publikacji zbiorowej p. t.: „Wielcy mężowie stanu katoliccy".

[2]) Gdy Henryk IV skonał w 1610 pod nożem Ravaillaca, ster rządów objęła wobec małoletności Ludwika XIII wdowa, Maria de Medici. Później rządzili niegodni faworyci: marszałek d'Ancre, a po jego zamordowaniu—konetabl de Luynes.

Nie z ziemskich a tembardziej przyziemnych pobudek zgodził się O. Józef pomagać kardynałom Richelieu w jego roli Atlasa, dźwigającego sklepienie Francji. Widział on w tem sposobność do służenia religji i Kościołowi, utwierdzenia we Francji zagrożonego katolicyzmu, a dalej do zrealizowania pokoju między narodami chrześcijańskiemi i zamierzeń powszechnej krucjaty przeciw Turkom. Chciał wreszcie — znając jako spowiednik najlepiej wady i słabości kardynała — być dlań aniołem-stróżem, cenzorem i przewodnikiem.

Sytuację Francji w chwili, gdy Richelieu dochodził do władzy, najlepiej malują jego własne słowa: „*Je puis dire avec verité, que leshug uenots partageaient le pouvoir avec Votre Majesté, que les grands se conduisoient comme s'ils n'eussent pas été ses sujets et les plus puissants gouverneurs des provinces comme s'ils eussent eté souverains en leurs charges... les alliances étrangères étoient méprisées, les intérêts particuliers préferés aux publics*“ [3]). Temu krajowi, zawichrzonemu wewnętrzną anarchją, groziła zzewnątrz Hiszpanja, ruchliwa i groźna jak za czasów Karola V,—próchniejąca już wprawdzie od środka, ale jeszcze silna swą niezwyciężoną armją, blaskiem Lepanta, złotem i bogactwem kolonij. Wspierała ją potężnie młodsza linja Habsburgów, zamyślająca zgniecenie protestantyzmu i zjednoczenie Niemiec. Posiadłości obu linij habsburskich otaczały Francję, poczynając od Lille do Franche Comté, z drugiej zaś strony od zatoki Biskajskiej i Katalonji przez hiszpańskie Włochy. Szwajcarską doliną Valteline mogli byli Cesarscy przechodzić do Medjolanu, to znaczy stworzyć ciągłość krajów habsburskich. O Valteline zaś Francja nie mogła walczyć, mając za plecami swych własnych a sprzymierzonych z Anglją Hugenotów, dzierżycieli La Rochelle i pół tuzina innych twierdz na francuskiej ziemi. Zanim też Richelieu rozprawił się z tem państwem w państwie, trzeba było się chwytać dyplomacji. Kardynał, któremu z początku brakowało doświadczenia w sprawach polityki zagranicznej, znalazł w Ojcu Józefie idealnego choć nieoficjalnego ministra spraw zagranicznych. Kapucyn był jak stworzony do układów, paktowania, łagodzenia. Jego habit mnisi czynił zeń człowieka pokoju. Urząd dyrektora Misyj dawał mu do dyspozycji informacje z pierwszej ręki, zbierane przez „braci tułaczów“ — kapucynów. Znały go już zresztą dwory europejskie z akcji na rzecz nowej krucjaty, gdy przebiegał dwory europejskie: Madryt, Wiedeń, Rzym, nawołując do unji świętej przeciw niewiernym.

Taki człowiek wytknął sobie teraz cel wspólnie z kardynałem: pacyfikację Europy z inicjatywy Francji i rzucenie jej zjednoczonej i silnej na Turków. W tym celu (o rozumny „egoizmie narodowy“!), należy osłabić Austrję i Hiszpanję, które, owładnięte duchem imperjalizmu, niechętne są tym planom i dać Ludwikowi XIII rolę arbitra Europy.

Zaczęła się gra dyplomatyczna. Austrja, która— trzeba to przyznać — miała spokojniejsze sumienie katolickie, niż Francja—wyrażała zachwyt nad projektem antytureckim, ale żądała, aby Francuzi poświęcili Unji Katolickiej sprzymierzonych i ochranianych przez Ludwika XIII niemieckich książąt protestanckich.

---

[3]) Armand du Plessis de Richelieu. *Testament politiique* (Zachowałem pisownię XVII wieku).

Twardy miał orzech do zgryzienia ten mnich, któremu była naprawdę droga idea zjednoczenia chrześcijańskiej Europy, ale nie zawahał się ani chwili. Z wiru dyplomatycznych konferencyj wyszli nietknięci książęta protestanccy, został zabezpieczony interes francuski. To sprawiło, że w raportach do Rzymu określono O. Józefa z niesmakiem jako „dobrego Francuza“ i „umysł machiawelistyczny“. Sposób prowadzenia pertraktacyj przez sprytnego kapucyna został znienawidzony w Europie. „*Il ne fait qu'un avec Richelieu*" pisze o nim z żalem nuncjusz Spada do kardynała Baberiniego.

„Do ukrywania swych myśli, do owijania ich w osłonki skłaniała O. Józefa zarówno natura, jak i wyrachowanie“—pisze o nim jeden z biografów— „W rokowaniach dyplomatycznych trzeba umieć zawsze dużo mówić, a nic nie powiedzieć, trzeba odwracać uwagę przeciwnika od rzeczy istotnej przez rozważania ogólne, przez twarde upieranie się w drobiazgach i zapomocą tych dygresyj wyłudzić mimowolne ustępstwa; jeśli zaś jest zbyt zręczny, aby się dać wyprowadzić w pole, trzeba przynajmniej przeniknąć rozmiary jego pełnomocnictw i granice, w których wolno mu robić ustępstwa. O. Józef umiał to czynić w sposób nadzwyczaj zręczny. Zawdzięczał to swej niezwykłej przenikliwości, znajomości ludzi, umiejętności stałego a niewidocznego zbliżania się do postawionego sobie celu, dobrodusznym manjerom, które najbardziej skrytych skłaniały do wypowiadania się, wreszcie ognistości, która rozgrzewała nawet najzimniejszych“.

Trzeba było tych cech charakteru dla kapucyna w epoce, w której Rzym prowadził bardzo wyraźną politykę doczesną, zaś Francja nie mogła opuścić swych heretyckich sprzymierzeńców. Trzeba było tych cech dla człowieka, który, nie będąc typem kłamcy, głosił na 300 lat przed Briandem— i o ile mądrzej — ideę Stanów Zjednoczonych Europy, a jednocześnie musiał dbać o interes swego króla. Dla zwykłego, nieskrępowanego niczem dyplomaty byłaby to rzecz delikatna. Dla głęboko wierzącego mnicha była to droga najeżona trudnościami. A jednak przebył ją konsekwentnie do końca.

Zawsze u boku Richelieu'go, który się wciąż z nim naradzał, opuszczał on go jednak w razie, gdy trzeba było jechać na teren zagrożony. Tak było np. podczas sejmu cesarskiego w Ratysbonie, na którym Ferdynand II chciał zmienić konstytucję Świętego Cesarstwa Rzymskiego, zamienić je na monarchję absolutną, a jako pierwszy krok przeprowadzić wybór syna swego na Króla Rzymskiego, to znaczy przesądzić jego wybór na tron cesarski. Godny to był plan Habsburga, który podarł w Pradze List Majestatu i pozbawił głowę Unji Protestanckiej, zięcia króla angielskiego, jego dziedzicznego Palatynatu. Ale ręka francuska plątała już misterne sieci. Ojciec Józef przybył do Ratysbony, rzekomo w sprawach włoskich. W istocie celem jego było rozbroić cesarza i przeszkodzić elekcji jego syna.

Ferdynand II dał się oplątać zręczności Francuza. Szedł na ustępstwa: zredukował armję do czterdziestu tysięcy, poświęcił nawet Wallensteina, wiadomo z jakim skutkiem. I oto, gdy przyszło do rzeczy, o którą walczył, poczuł, że starł się z przeciwnikiem silniejszym od siebie: sejm nie dokonał elekcji młodego Ferdynanda.

Wówczas miał cesarz powiedzieć: „Ten ubogi mnich z różańcem pozbawił mnie armji; mógłby on

schować do swego kaptura dobrych sześciu elektorów". Nietylko cesarz uważał, że O. Józef zbyt dobrze służy swemu królowi. Wiele osobistości posunęło się aż do publicznych wymysłów na mnicha, oddając w ten sposób niejako mimowolny, jaskrawy hołd jego patrjotyzmowi. On zaś, wróciwszy do Paryża, nie przestawał, wzbogacony doświadczeniem ratysbońskiem, prowadzić zaciętej walki z domem rakuskim, chciwym i zaborczym, który z całą bezceremonjalnością utożsamiał swój interes ze sprawą religji katolickiej.

Przeciwny wojnie, dopóki nie stała się koniecznością, dokonywał nadludzkich wysiłków, aby jej uniknąć. Będąc wówczas (wiosną 1635) chory, trawiony gorączką, leżąc w swojej celi mniszej na słomie, przyjmował bezustanku zagranicznych dyplomatów. Wysiłek ten skrócił mu, jak się zdaje, życie.

Mimo tych zabiegów, wojny nie dało się powstrzymać. Wybuchła ona w tymże roku i toczyła się ze zmiennem szczęściem. Dla Richelieu'go, dźwigającego na swych barkach odpowiedzialność za losy Francji, O. Józef był, jak mówią pamiętniki kardynała, „oparciem i pocieszeniem".

W r. 1636 Cesarscy szeregiem zwycięstw otwarli sobie drogę do Paryża. W stolicy wrzało. Krzyczano o zdradzie kardynała. Złożony chorobą Richelieu słyszał przed oknami wrzaski tłumu i krzyki *„à la mort!"*. Król zachowywał się lodowato. Te wszystkie nieszczęścia przygnębiły wielkiego ministra. Zaczął wzywać śmierci jako wybawienia, mówić o opuszczeniu urzędu, kazał przygotować się do odjazdu.

Wówczas szara postać kapucyna zjawia się w komnacie. „Czy sądzisz — woła — że twoja słabość i zwątpienie sprowadzą miłosierdzie boskie? Czy nie wzbudzą raczej gniewu Bożego? Wytrwałość jest obowiązkiem religijnym". I oznajmia, że miasteczko Corbie, Radzymin ówczesnego Paryża, będzie jutro odzyskane. W natchnieniu obwieszcza zwycięstwo. Rzeczywiście — dnia następnego karta wojny odwraca się. Kapucyn, wyzyskując nastrój, jedzie sam bez eskorty w ulice, natłoczone ludem. Przemawia. Wznieca zapał. W trjumfie odprowadzają go do ratusza tłumy, wczoraj jeszcze nienawistne. Odtąd staje się przepowiadaczem zwycięstw. Nazywają go prorokiem Ezechielem.

Przyjaźń i współpraca z kardynałem Richelieu osiąga teraz swój zenit. O. Józef zostaje oficjalnie ministrem. Oto jego rozkład zajęć: od godz. drugiej w nocy do piątej rano pracuje z kardynałem. O piątej odprawia Mszę Św., poczem przyjmuje urzędników, słucha raportów (kierował między innemi całą akcją wywiadowczą zagranicą). Potem rozpoczynają się audjencje. Po ich ukończeniu dyktuje polecenia swym czterem sekretarzom, poczem idzie do kardynała, leżącego jeszcze w łóżku (Richelieu był, jak wiadomo, wątły i słabego zdrowia) i składa mu sprawozdanie. W południe je skromny posiłek, spowiada, modli się, rozmyśla. Po tej przerwie rozpoczyna znowu: przyjmuje, czyta, dyktuje, notuje, wydaje rozkazy, aż do wieczerzy, po której jeszcze gawędy z kardynałem-przyjacielem i kilka godzin snu.

A w tej pracy, w tem dyktowaniu ileż różnorodnych czynności. Redaguje odezwy, biuletyny wojenne, współpracuje z generałami nad planem kampanji, odpowiada na paszkwile wrogiej propagandy. Roztacza nadzór i opiekę nad najstarszym dziennikiem świata: *„Gazette de France"*.

Trzeba było tej pracy, bo, choć minęły godziny trwogi, do końca wojny było jeszcze daleko. Wojsko bitne, lecz niekarne, łatwo ulegające depresji w razie niepowodzeń, źle płatne, skarb pusty, niepopularność — i ciągłe rewolty, podniecane przez rodzonego brata królewskiego, Gastona Orleańskiego: oto obraz trudności, z któremi walczył Richelieu i jego przyjaciel.

Wielkiem ich pocieszeniem były narodziny Ludwika XIV, a później jego brata. Przynajmniej tron omijał Gastona, któryby obrócił w niwecz dzieło kardynała. Wreszcie i szala zwycięstwa zaczęła już na dobre przechylać się na rzecz Francji. Oblegano Bryzak w Bryzgowji „najsilniejszą fortecę Europy", która panowała nad Alzacją. Jej zdobycie było dla Francji rzeczą wielkiej wagi. To kazało O. Józefowi zapominać o ciężkiej sklerozie, o przebytym już jednym ataku apopleksji. Nie zważał na to, choć zdrowie jego podupadało z dniem każdym.

Drugi atak przyszedł w dniu, w którym z Rzymu przywieziono zgodę Urbana VIII na obdarzenie kapucyna kapeluszem kardynalskim. Dziewięć lat starali się o to — nie O. Józef — lecz Ludwik XIII i Richelieu. Watykan, przyjazny Habsburgom, opierał się temu gwałtownie. *„Ce qui fachoit le roy"* — pisze marszałek Bassompierre w swych pamiętnikach — *fut que le Père Josephe, présenté depuis neuf ans au pape pour estre fait cardinal, avoit esté constamment refusé par Sa Sainteté, et offert au roy d'en faire un autre en cas qu'il voulut en avoir, et que le pape le feroit; mais le roy s'y estoit tellement opinastré, qu'il ne s'en voulut jamais désister, et le pape s'obstina aussy, de telle sorte qu'il aima mieux ne point faire de promotion que d'y admettre le Père Josephe"*. Kapelusz otrzymał Mazarini...

Atak przyszedł po dniu bardzo męczącym, w ciągu którego O. Józef wygłosił dwugodzinną mowę do sióstr zakonnych z Marais o planie zdobycia Ziemi Świętej. Utracił mowę i czucie. Richelieu nadbiegł przerażony, nie skrywając łez i — jak mówią — chcąc pocieszyć konającego przyjaciela, krzyknął mu w ucho i spowodował uśmiech oraz otwarcie oczu:

„Ojcze Józefie, wzięliśmy Bryzak"!

Cztery dni walczył kapucyn ze śmiercią. Umarł 18 grudnia 1638 roku.

Pochowano go w kościele Kapucynów na przedmieściu Św. Honorjusza. Tłumy cisnęły się do grobu, aby go dotknąć różańcami. Widziano jak wielki kardynał szlochał, klęcząc przed trumną.

Tracąc przyjaciela Richelieu nie przestał być wielki, energiczny, potężny. Napozór nic nie zmieniło się w królestwie francuskiem, gdy zabrakło Szarej Eminencji. Ale pozbawiony szczerego doradcy, światłego przewodnika, czujnego krytyka i współpracownika, kardynał uczuł boleśnie trud i niezmierny ciężar swego urzędu oraz samotność w dziele przebudowy Francji. Wspominał teraz często: „straciłem moją podporę i moją pociechę".

To westchnienie, wyrwane z ust genjalnego męża stanu, wymowniejsze jest nad wszystkie pochwały i oficjalne mowy pogrzebowe.

Życie Ojca Józefa dla nas, Polaków, katolików i narodowców, winno służyć, jako wzór prawdziwego męża stanu, których tak mało znaleźć można we współczesnej Europie.

JAN MOSDORF

NA WIDOWNI

„Państwowy" i „antypaństwowy" — Znaczenie tych wyrazów i ich karjera.—Skąd się wzięła „państwowość"?

CZYTELNICY gazet, słuchacze i uczestnicy dyskusyj politycznych nieustannie, od kilku lat, mają do czynienia z powtarzanemi wciąż, odmienianemi uporczywie przez wszystkie przypadki przymiotnikami: „państwowy" i „antypaństwowy". Napotyka się na nie w zestawieniach najbardziej nieoczekiwanych. „Gazeta Polska" rozpisuje się np. o „młodzieży państwowej" (t. zw. Legjon Młodych, Akademicka Myśl Mocarstwowa i t. d.), którą przeciwstawia organizacjom młodzieży „antypaństwowej" („obwiepol"). Szkoły prywatne strofowane są przez ministerstwo oświaty za „brak aktywności w dziedzinie wychowania państwowego". Prawi się o „większości państwowej" w Izbach ustawodawczych, o „ideologji państwowej", o „państwowem stanowisku" stronnictw politycznych, ujawniającem się w takiem czy innem głosowaniu i t. p. i t. p. Warto przeto, korzystając z wakacyjnego wytchnienia, poprobować nieco dokładniej zastanowić się nad treścią wyrazów, używanych bez namysłu, bez usiłowania nawet postawienia sobie pytania, co one znaczą albo czy w pewnych określonych kontekstach nie okażą się wogóle—bezsensem.

Słownik Lindego, nie zapominający nawet o tak rzadkich, mało komu tylko znanych słowach jak np. „państwochwyt"[1]), przymiotnika „państwowy" wcale nie zanotował. Jakoż istotnie, klasycy polskiego piśmiennictwa politycznego zupełnie bodaj braku powyższego określenia nie odczuwali. Orzechowski, Skarga, Leszczyński, Konarski, Kołłątaj, Staszic—nieźle jakoś radzili sobie, nie powtarzając wyrazu, bez którego codzienna publicystyka pp. Miedzińskich czy Koców stałaby się poprostu nie do pomyślenia. Chyba przyszłoby zamknąć wydawnictwo „Gazety Polskiej" lub ograniczyć się do samych tylko ogłoszeń komorników...

„Słownik języka polskiego" A. Kryńskiego i Wł. Niedźwiedzkiego zna wyraz „Państwowy: przym. od Państwo". Podaje też następujące przykłady jego stosowania: „Bank P. Pożyczka, obrona, władza, polityka, kolej państwowa. Prawa, przepisy, szkoły państwowe"...[2]) Z tych i tym podobnych zestawień jest widoczne, że polski wyraz: „państwowy" odpowiada mniej więcej francuskiemu: *d'Etat*, niemieckiemu: *Staats*—, *staatlich*—, i oznacza: należący, odnoszący się do państwa, przez państwo prowadzony, organizowany, finansowany, tworzony... Gdy się mówi np. „opera państwowa", „państwowa stacja doświadczalna", „państwowe wydawnictwo dokumentów archiwalnych" i t. d., sens wyrażeń takich jest prosty i niedwuznaczny: opera, stacja doświadczalna, wydawnictwo dokumentów archiwalnych — finansowane przez państwo. Czyż tak właśnie tłumaczyć też sobie należy mniej na pierwszy rzut oka zrozumiałe: „młodzież państwowa"[3]), „większość państwowa w Izbach prawodawczych"? „Wychowanie państwowe" — jest to zwrot, nie nastręczający żadnych zgoła wątpliwości, kiedy oznacza ten dział pracy nad wychowaniem młodych pokoleń, który wykonywany jest przez powołane do tego organy państwowe, przy pomocy dostarczanych przez państwo środków. Ale ileż nieporozumień wywołać musi żądanie „aktywności w dziedzinie wychowania państwowego", postawione... kierownikowi szkoły prywatnej? Wyrażenie „ideologja państwowa" jest najzupełniej dorzeczne w znaczeniu: ideologja, której służy państwo, którą urzeczywistnia państwo w swej polityce wewnętrznej i zewnętrznej, a więc np. w zdaniach: „ideologją państwową Rosji sowieckiej jest komunizm", „od przewrotu faszystowskiego nacjonalizm stał się ideologją państwową Włoch nowoczesnych" i t. d. Jakąż treść jednak posiadać może uroczyście powtarzana deklaracja „sanatorów": nasza ideologja państwowa jest państwowa?

Przymiotnik „antypaństwowy", u Lindego również niespotykany, określony jest w słowniku Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego jako „w nowszych czasach dowolnie utworzony"[4]). W zasadzie bowiem przeciwstawieniami pojęcia „państwowy" są, zależnie od okoliczności, pojęcia: „prywatny", „gminny", „międzynarodowy"... Istnieją więc koleje żelazne państwowe i prywatne (nie — „antypaństwowe") skarbowość państwowa i gminna (także wcale nie „antypaństwowa") i t. d. Podobnie przeciwieństwem zaimka „własny" jest zaimek — „cudzy", i conajmniej niezrozumiałe byłoby np. zdanie: „Pan X wybrał się na bal w antywłasnym fraku"...

Skąd jednakże to nadużycie wyrazów „państwowy" i „antypaństwowy" w Polsce odrodzonej, to nienormalne zamiłowanie do powtarzania ich u polityków i publicystów? Jest to poprostu, gdy się bliżej rzecz zanalizuje, jedna z licznych, śmiesznych i upokarzających zarazem pozostałości po długotrwałej niewoli. Kiedy Polska odbudowała się jako państwo, dla wielu małych, niewolniczych duszyczek fakt powyższy tak dalece przerastał ich pojemność, że niezdolne były one zrozumieć, iż odtąd naród polski jest jedynym w państwie polskiem gospodarzem, i że jego, narodu polskiego interes i wola są dla każdego obywatela państwa nakazem i obowiązującą regułą. Tchórzliwe, do poddaństwa przyuczone mózgi nie potrafiły odważyć się na myśl tak śmiałą, że w Polsce naród polski panuje: siłą nałogu po dawnemu pozostały przy przeświadczeniu, że i w państwie polskiem wolno, komu się podoba, zajmować stanowisko przeciwpolskie, że stosunek wrogi do narodu polskiego i jego dążeń nie jest u obywatela polskiego czemś karygodnem. Nie mając odwagi domagać się wierności wobec narodu polskiego ani uznać za niedopuszczalną działalności antypolskiej, wykoncypowano formułki niewyraźne, lękliwe, pozostawiające pole do mniej obowiązujących interpretacyj: zażądano „stanięcia na gruncie państwowości polskiej", postanowiono zwalczać „dążenia antypaństwowe"..,

Tutaj zresztą ujawniła się odrazu tandetność pomysłu. „Antypaństwowcem", bowiem, nieprzyjacielem państwa wogóle, państwa „jako takiego",

---

[1]) Słownik Lindego, wyd. II, r. 1858, t. IV, str. 40: „Państwochwyt — posiadacz państwa pod kim, chcący sobie cudze państwo podbić"...

[2]) Słownik Antoniego Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego, r. 1905, t. IV, str. 44.

[3]) Interesujące jest, w jaki sposób zręczne to określenie przekładaliby publicyści „sanacyjni" na języki obce: *„jeunesse d'etat"? „Staatsjugend"? „gosudarstwiennaja"* czy też *„kazionnaja mołodioż"?!*

[4]) Słownik J. Karłowicza, A. Kryńskiego, Wł. Niedźwiedzkiego, r. 1900, t. I, str. 40.

mógłby chyba okazać się jakiś doktryner-anarchista, wyznawca Proudhon'a albo Tołstoja, z tej zaś strony zbytnie niebezpieczeństwo,—zdaje się— całości Rzeczypospolitej nie zagraża. Przeciwnikiem zaś Polski (nie „państwa", pojętego w sposób abstrakcyjny), jest np. separatysta-ukrainiec, który na terytorjum polskiem organizować pragnie niezawisłe państwo ukraińskie. Antypolskie, nie „antypaństwowe" są podobnież zamysły i działania komunisty, co nienawidząc „burżuazyjnej" cywilizacji polskiej i polskiej tradycji, żywi przecież w duszy swojej ideał „państwa", i to „silnego", najsamowładniej, najbezwzględniej ujarzmiającego jednostkę ludzką — państwa kolektywistycznego. Trafne będzie też zapewne wyrażenie: „działalność antypolska", jeżeli chodzi o robotę Niemców, obywateli Państwa Polskiego, propagujących oderwanie Pomorza czy Śląska Górnego oraz ponowne przyłączenie ich do Prus. Analogiczne wysiłki niemieckie w Alzacji i Lotaryngji publicyści i dziennikarze francuscy nazywają stale: „*une propagande antifrançaise*". Ale bo też odpowiednika wyrazu „antypaństwowy" języki narodów zachodnio-europejskich bodajże wogóle nie wytworzyły...

I jeżeli — pomimo wszystko — słówko „antypaństwowy" nietylko nie wychodzi z użycia, ale, przeciwnie, panoszy się coraz bardziej i wykrzykiwane jest coraz hałaśliwiej, dzieje się to jedynie z tego powodu, że nadało się ono bardzo dogodnie politykom, którzy chcą powiększać zamęt pojęć, oszukiwać opinję publiczną i ukrywać sens właściwy swoich poczynań. Ostatecznie, można z biedą napisać w prasie „sanacyjnej", że „nacjonaliści żydowscy stoją na gruncie państwowości polskiej", i że polska młodzież akademicka w większości swej „zajmuje stanowisko antypaństwowe". Ale najpotulniejszy nawet czytelnik „Gazety Polskiej" prawdopodobnie wierzgnąłby niecierpliwie, jeżeliby pewnego poranku wyczytał w swoim dzienniku stwierdzenie, że „nacjonaliści żydowscy są polscy", a „młodzież polska — antypolska"...

*

W uwagach powyższych parokrotnie użyty został również wyraz: „państwowość". Warto zatem i jemu także poświęcić przy sposobności chwilę uwagi.

Podobnie, jak i poprzednie, nieznany Lindemu, znalazł się on w słowniku Kryńskiego i Niedźwiedzkiego: „P a ń s t w o w o ś ć: rz. od Państwowy"[1]). Ażeby wytłumaczyć treść tego, mało wówczas używanego i niezbyt znanego rzeczownika, przytaczają autorzy cytat ze Stanisława Krzemińskiego: „Im mniej państwowości, tem lepiej dla społeczeństwa, dla wewnętrznego i zewnętrznego rozwoju człowieka", dodając w nawiasie: (=formalizmu państwowego, opieki państwowej)...

Otóż i w tym wypadku wyraz „państwowość" karjerę swą, jaką zrobił w ciągu ostatnich lat kilkunastu, zawdzięcza znowu małoduszności ludzi, wychowanych w niewoli, lękających się wszelkiej myśli śmielszej, ambitniejszej, ludzi, którzy „trzeźwość polityczną" pojmowali jako gotowość wyrzeczeń i w okresie wielkiego przewrotu dziejowego potrafili jedynie zdobywać się na programy skromniutkie, minimalne, zabawnie wprost nie dostosowane do ogromu dokonywującej się w świecie przemiany. W okresie wojny światowej, w Polsce okupowanej przejściowo przez wojska mocarstw centralnych, znaczną rychliwość okazywała grupa zwolenników t. zw. „rozwiązania austro-polskiego", innemi słowy „trjalizmu", t. zn. zjednoczenia b. Królestwa Kongresowego z b. Galicją i połączenia ich unją z Austrją i Węgrami w jedną, wspólną, potrójną monarchję pod berłem Habsburgów. W r. 1916 grupa wspomniana zorganizowała się jako Liga Państwowości Polskiej. Nazwę dobrano starannie. Słowa „niepodległość", „niezawisłość" i t. p. wydawały się bądź co bądź zbyt ryzykowne, skoro projektowany twór nie miał przecież posiadać całkowitej udzielności, ale stanowić jedną z trzech równouprawnionych, węzłem unji realnej związanych części mocarstwa habsburskiego. Wybawieniem z kłopotu okazało się hasło „państwowości", które uznano za szczyt mądrości politycznej i rozważnego realizmu. Odtąd „państwowość" stała się ulubioną formułą „poważnych", „odpowiedzialnych" oświadczeń aktywistycznych „dyplomatów" i „mężów stanu". Weszła do słownictwa urzędowych przemówień, ministerjalnych deklaracyj...

Z różnych przyczyn (o których długoby pisać) politycy, w czasie wojny światowej współdziałający z mocarstwami centralnemi, wydostali się w odbudowanem Państwie Polskiem na kierownicze stanowiska. Wśród innych cech zachowali oni przyzwyczajenie do wyrazu „państwowość", już nie w tem dawnem, przedwojennem znaczeniu, w jakiem był się nim posługiwał Krzemiński, ale poprostu jako synonimu „państwa", gdy się chce mówić o niem w sposób szczególnie dostojny, oficjalny, namaszczony. Jak zadawniony nawyk zakorzeniło się to wyrażenie w publicystyce „sanacyjnej" i trudno znaleźć „współpracującego z rządem" dziennikarza, który raz po raz nie uczuwałby nieodpartej potrzeby, ażeby się tem słówkiem popisać. I możnaby śmiało iść o zakład, że gdyby który z redaktorów „Gazety Polskiej" zechciał np. tłumaczyć „*De civitate Dei*" św. Augustyna, tytuł przekładu brzmiałby niewątpliwie: „O rozbudowie państwowości Bożej"...

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Słownik Kryńskiego i Niedźwiedzkiego, r. 1905 t. IV, str. 44.

NAUKA I LITERATURA

KARTKI KRZEPIĄCE

JEST to stałą ilustracją tragedji polskiej — mówi Tetmajer — że wśród ogółu, niezdolnego do czynu, garść ludzi pełni swój obowiązek z zatwardziałością męczenników. A Jeleńska („Sztuka Wychowania") dodaje że owa garść, to „nie wybrańcy narodu, nie przodownicy, nie działacze potężni, nie pisarze wpływowi, lecz tylko uczciwi pracownicy, uczciwi ludzie". Do nich należał ś. p. Teodor Tyc, taki się nam przedstawia w „Pamiętniku", takim był w życiu. Cechowała go głęboka religijność, („Kościół jest dla mnie"— zwierza się Tyc—„owem *ultima Thule*, chrześcijaństwo katolickie tym portem, do którego statek znękany, natłukłszy się po morzach burzliwych, wkońcu przybija") i ta nuta religijna dźwięczy przez całe jego krótkie, ale jakże czynne życie. Z natury subtelny, reaguje niezwykle czule na wszelkie przejawy dobra, piękna i prawdy. Sam stwierdza u siebie „zbytnią wrażliwość", ale z tej wrażliwości wypływa przewaga jego dodatnich cech. Odznaczał się silnie rozwiniętem uczuciem rodzinnem, roztaczał wzruszającą troskliwość i opiekę nad matką i siostrą, a marzeniem jego było móc odbudować ognisko rodzinne, które się rozpadło po śmierci ojca. „Z na-

tury leniwy, stał się pilny przez patrjotyzm", i owa pilność, niezmordowana czynność przyczyniła się w wysokim stopniu do jego śmierci przedwczesnej. Inną składową częścią charakteru Tyca był fanatyczny wprost patrjotyzm, umiłowanie Polski, której poświęcić pragnął najlepsze swe siły. Inteligentny, pracowity, zdumiewa trafnością swych spostrzeżeń, rozległością wiedzy, dużą kulturą i szeroką skalą swych zamiłowań.

Był pięknoduchem w najlepszem tego słowa znaczeniu: Mickiewicz — Norwid — Goethe — oto trójca, którą najbardziej uwielbiał. Zamiłowanie czynne do literatury wykazuje bardzo wcześnie. Mając 18 lat drukuje w „Orędowniku" opowieść historyczną p. t. „Piotr Włast Dunin". W tej powieści przebija, a nawet ustala się już główny cel jego życia: praca na polu historji. Czyta dużo, rozważa i pisze. Nie umie jeszcze należycie korzystać ze źródeł — ale intuicją zastępuje narazie te braki. Właściwą pracę rozpoczyna dopiero po powrocie do Polski — gdyż dotąd przebywał w Niemczech. Publicystyka, prace naukowe i półnaukowe wypełniają obok studjów historycznych i ekonomicznych jego życie. Mimo bardzo trudnych warunków materjalnych uporał się szybko z przepisanemi egzaminami i pracą doktorską. Najbardziej zajmowały go historja i kultura średniowieczna. Ś. p. Tyc był zapalonym naukowcem. Pełno w „Pamiętniku" pomysłów i tematów prac z dziedziny historji średniowiecznej, historji Narodu Polski, z dziedziny kultury i sztuki. Pomysły te są wypływem bardzo wytężonej pracy naukowej, obszernej lektury, rozważań i wycieczek po Polsce. Notuje tak skrzętnie rozmaite braki ze wspomnianych dziedzin naukowych, że wprost nuży tem mnóstwem tematów. W przewadze tematów do opracowania, w refleksjach notowanych z dnia na dzień wybija się gorące umiłowanie Polski. Obserwując współczesne życie Polski, raz po raz stwierdza z żalem, że „cierpimy na brak silnych indywidualności, — że czytamy za wiele, myślimy za mało, że sobie i ojczyźnie wyrządzamy krzywdę przez naszą niesłowność, że jesteśmy zbyt skromni i ustępliwi w stosunku do zagranicy". Płytkość polska — to jedna z najprzykrzejszych naszych wad: „Polsce potrzeba pogłębienia na wszystkich polach. Narodowość musi stać się dębem sięgającym głęboko w glebę, którego konary idą przez wszystkie dusze". Słusznie podkreśla Tyc, że „naród" jest pojęciem politycznem, nietylko kulturalnem. „Psychika polska" — mówi Tyc na innem miejscu — „musi wyplenić w sobie wszystkie te szlamy, bagienka, grzęsawiska hipercukrzonego sentymentalizmu. Myśl polska, jeżeli chce się ostać, musi sobie nieco wyrobić muskuły". Bardzo surowo ocenia Tyc rolę warstw wyższych u nas... „Kolosalna zarozumiałość, pyskowanie o kulturze, wyższości i posłannictwie. Wstrętne łudzenie siebie samego"... w myśleniu warstw wyższych taka mistyka, górnolotność, nieścisłość romantyzmu (mianowicie w piśmiennictwie)... „są to powierzchowne pozostałości niestrawionej kultury, frazesu i romantyzmu".

Wynurzeń politycznych *par excellence* niemadużo w „Pamiętniku". Siebie samego uważa za „państwowca", pod względem ideologji silnie zbliżony jest do obozu wszechpolskiego, mimo oficjalnej przynależności do Młodej Polski. Oto przykład: „nasz stosunek do Wschodu — rozdawnictwo wolności... jest to nieraz interesom realnym przeciwne... nasza polityka wschodnia ma zawsze odcień fałszywy i bywa przez świat i przez naród źle zrozumiana". Jeszcze silniej uwydatnia się to w stosunku Tyca do Polski zachodniej. Z racji ofensywy na Ukrainę pisze Tyc"... czy wogóle ten ciągły pęd na wschód ma swe usprawiedliwienie? Ja patrzeć muszę na Zachód, tam wszyscy oblicze zwrócić powinniśmy. Tu nasze rdzenne ziemie, których z uporem i twardością trzymać się powinniśmy. Misja na Wschodzie, wobec ludów kulturalnie niższych, jest łatwiejsza, niż trwanie na kresach zachodnich wobec naporu wyższego kulturalnie przeciwnika, a nieco dalej po klęsce: „Sen srebny się rozwiał. Może to dobrze. Mnie rozdawanie swobód nigdy nie przekonało". Oto parę wyrwanych z tej dziedziny myśli, charakterystycznych dla pojmowania Tyca pewnych żywotnych dla Polski kwestyj.

Tyc przedstawia się nam poprzez swój „Pamiętnik" jako typ człowieka bardzo dodatniego. Łączy głęboką religijność z szczerym patrjotyzmem, prawością i uczciwością, wysoko pojętym ideałem pracy. Pracował nad własnem pogłębieniem wewnętrznem, uważał „uprzejmość, cierpliwość, pogodę" za podstawę harmonijnego współżycia z ludźmi. Prawdziwym kultem otaczał pracę: będąc sam niesłychanie pracowity w pracy upatruje ocalenie Polski. W liście do siostry pisze: „Praca jest celem ludzkiego życia, zajmuj się zawsze i wszędzie czemś, co może przynieść ludziom korzyść wogóle, a Polsce głównie". Pracuje do ostatniej chwili swego życia i jakby w przeczuciu rychłej śmierci wypowiada swój żal, że nie będzie mógł urzeczywistnić wszystkich swoich pomysłów prac historycznych i innych.

Na koniec należy jeszcze poświęcić słów parę stosunkowi Tyca do Śląska. Jego znajomość i ukochanie Śląska datują od czasów plebiscytu, w którym ś. p. Tyc czynny brał udział. Redagował wpierw „Powstańca" potem pismo „*Weisser Adler*", był czynny w agitacji plebiscytowej. Żal po utracie Śląska opolskiego przebija niejednokrotnie w „Pamiętniku". Przyczyny niepowodzenia widzi Tyc w nieprzyjaznem stosunku Anglji i Włoch do Polski, ale i po polskiej stronie. Charakterystycznie ocenia rolę Polski w tej walce o prastarą prowincję polską:.. „w sprawie śląskiej dużo niezrozumienia wykazała t. zw. lewica, przedewszystkiem sfery peowiackie (zaczepki prasowe, ekspozytury wojskowe)", a dalej... „w Polsce w odniesieniu do Śląska zyskał sobie uprzywilejowanie płaczliwy sentymentalizm. W Niemczech nad Śląskiem czuwa tylko mózg i wola narodu. Obyśmy i my umieli w stosunek nasz do Śląska włożyć więcej tego skupienia. Polskość Górnego Śląska nie jest pióropuszem uczuć wiotkich i powiewnych, jest ona wynikiem długiej doby płynącej w pracy i ucisku. Śląsk nie jest krajem smutnych zamków ani szumiących sztandarów spłowiałych—jest krajem dnia dzisiejszego, w większej jeszcze mierze krajem jutra. Szarzyzna trudu, nie karmazyn używania, ze Śląska uczyniła perłę korony Polski. Jeżeliby ta Polska nie zrozumiała, że perłę tę oprawić można tylko w stal, wtedy Śląsk stałby się dla niej klątwą. Pracy mu, nie sentyment tylko dać, musimy. Górny Śląsk nie jest cukrową sielanką, nie jest pełnym gestu dramatem. Jest prozą, pełną życiowej mądrości. Dużo tam pracy realnej, dużo tam kamieni".

Oto właściwe ujęcie stosunku Polski do Śląska. W niewielu słowach umiał Tyc stosunek ten określić, zorjentowawszy się szybko w potrzebach ludu i ziemi. Ukochanie szczególne ziem zachodnich Polski jest jedną z zasadniczych cech patrjotyzmu Tyca. Kresom zachodnim poświęcił dużą część swego krótkiego żywota. Polska Zachodnia też w szczególnie serdecznej pamięci będzie miała przedwcześnie zgasłego młodego uczonego. „Pamiętnik" Tyca jest lekturą niezwykle krzepiącą, poważną lekcją prawdziwie pojętego patrjotyzmu, przykładem pracowitego i szlachetnego życia dla młodych i starych. Szczera wdzięczność należy się komitetowi i rodzinie za to, że wydali „Pamiętnik", który pozostanie trwałym pomnikiem polskiego idealizmu, uczciwej pracy, głębokiego patrjotyzmu.

Lubliniec G/Śl. ALFRED JESIONOWSKI

RUCH WYDAWNICZY

Wzmagająca się twórczość polska w zakresie powieści sensacyjnej czeka dopiero właściwych dróg i jak dotąd, z nielicznemi wyjątkami, nie zdobyła się na wiele oryginalności. Do udanych powieści z tego zakresu należą utwory Błażejowskiego, Piaseckiego, Marczyńskiego, Jarosławskiego. Mniej udaną powieścią z tej dziedziny jest powieść Jermskiego p. t. „Fjoletowe oczy" (Biblj. Grosz.) Mniej udaną dlatego, że jest za rozwlekła, za naiwna w ujęciu. Autor nie umiał stopniować napięcia, pozwala domyślać się wszystkiego z samego początku akcji. Zbyt podkreślone są krańcowości charakte-

rów: Rzepka-ojciec jest 100% przestępca — Rzepka syn zaś 100% idealista. Zaletami powieści są szlachetna (za szlachetna) tendencja, poprawna polszczyzna, szereg szczęśliwych pomysłów, niestety za mało wykorzystanych, zręczne unikanie zbyt drażliwych sytuacyj.

O wiele zręczniej napisane są dwie powieści z życia mętów warszawskich Juljana Krzewińskiego: „Jadźka Dryndziarka" i „Ulice i zaułki". I te powieści grzeszą pewną rozwlekłością, ale intryga przeprowadzona jest zręcznie, typy scharakteryzowane udatnie, żargon mętów oddany po mistrzowsku (jak twierdzą znawcy). Unikanie zbytniej drastyczności w ujęciu miłości sfer melinowych, zasługuje na podkreślenie. Obre książki (wydał je „Rój") są interesujące.

Trzecią wreszcie nową powieścią o treści sensacyjnej jest Marczyńskiego: „Biała trucizna" (Rój) Marczyński należy do najpopularniejszych polskich pisarzy powieści sensacyjnych. Powieści jego są nierównej wartości. „Biała trucizna" należy do lepszych. Autor starał się przy zajmującej fabule przedstawić ruinę moralną i materjalną niewolników narkotyków. Akcja nie jest przeładowana, toczy się żywo i zajmująco. (A. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYBACZCIE, Szanowni Czytelnicy — nie dotrzymałem zobowiązania. W numerze 32 „Myśli" przyrzekłem dalszy ciąg za tydzień, tymczasem... Bo krytyk, z tej samej gliny ulepiony co i wszyscy, tym samym podlega słabostkom próżnowania, zwłaszcza że pora po temu sprzyja. Jeden z tematów, porzuconych przezemnie na wyjezdnem z Warszawy — myślę o dorocznej wystawie Szkoły Sztuk Pięknych — niewiele stracił na tej zwłoce. Niema potrzeby bowiem niezwłocznego sygnalizowania chwilowego przypływu, lub ubytku mniej lub więcej zdolnych jednostek na terenie szkoły. Zdać raczej sprawę należy z metod nauczania, stosowanych w uczelni, oraz ze zmian, jakieby ewentualnie w tych metodach zajść mogły. A to są sprawy nietylko z chwilą bieżącą związane i w skutkach swych daleko poza nią sięgające. Wypadnie mówić jeszcze o jednem i bodajże najważniejszem: o masie uczniowskiej jako pewnej całości. O jej skłonnościach, upodobaniach i nie o skali jej zdolności, a raczej ich charakterze. Mówi się wiele o świetnych metodach urabiania materjału uczniowskiego w Szkole Szt. Pięknych, trzeba nam wiedzieć co nieco i o samym materjale, gdyż ten podlega zmianom: i tak, to samo ziarno w coraz to inną rzucane glebę, plon może wydać inny, czasem i dla siewcy niespodziewany.

Młodzież która dotychczas mury szkolne opuściła i zawiązała szereg stowarzyszeń artystycznych, jak: „Bractwo Św. Łukasza", „Ryt", „Forma", należy przeważnie do pokolenia wojennego. Pokolenia, które przerwało naukę, aby walczyć i wróciło znowu na ławę szkolną, bogatsze w przeżycia i dlatego poważniejsze. Ci, co teraz się uczą, są daleko młodsi, młodsi nietylko wiekiem. Nie chcę wszystkich różnic, jakie między obu „edycjami" można będzie wynaleźć, tłumaczyć tym jednym faktem, lecz wydaje mi się, iż nie wolno go lekceważyć. Odbije się on nietylko na sposobie przyjmowania podawanej wiedzy, ale zostawi swój ślad i na przyszłość.

Gdy zwiedzałem tegoroczną wystawę, jej pewne charakterystyczne znamiona zwróciły moją uwagę odrazu; odnajdywało się je naturalnie nie we wszystkich pracach, lecz już w takiej proporcji, że nadawały odpowiednie zabarwienie całości. Obawiając się zbytniej subjektywności sądu, podzieliłem się memi spostrzeżeniami ze znajdującym się na wystawie znajomym, jednym z wybitniejszych uczniów Szkoły. Sądziłem iż ten, zanurzony stale w jej atmosferze, mniej będzie wrażliwy na to, co przedewszystkiem zwróciło moją uwagę. Młody artysta zgodził się jednak w zupełności. Rozmawiałem potem z pewnym, starszym już i bardzo zasłużonym dla rozwoju sztuki graficznej pedagogiem. „Wszystko to" powiedział, „robione jest przedewszystkiem po to, aby się podobało. I rzeczywiście podoba się". Zaczyna się podobać nawet krytykom, co nie zawsze jest objawem pocieszającym. Oto jeden z nich pisze: „Uczniowie Szkoły Szt. Piękn. przekonali się wreszcie, iż trzeba skądś czerpać (!?) A jak czerpać, to już z najlepszego źródła — Paryża"[1]. O szkodliwości bezkrytycznego poddawania się wpływom międzynarodowej sztuki paryskiej pisałem nieraz. Przedostanie się ich na tereny szkolne byłoby szkodą tem większą. Lecz w tym wypadku mam zamiar rozpatrywać sprawę z innego punktu widzenia. Wiadomo, iż kto chce stać się twórcą w jakiejkolwiek dziedzinie sztuki, musi wpierw poznać jej abecadło. „To, co my robimy tutaj, wcale nie jest sztuką" powiedział mi kiedyś jeden z profesorów Szkoły, dawny mój nauczyciel. Tymczasem młodzież, coraz liczniejsza, czas przeznaczony na poznawanie abecadła, traci zupełnie na co innego. Chcieliby jaknajprędzej robić „obrazy", prawdziwe dzieła sztuki i to jaknajbardziej współczesnej. Jesteśmy zdolnym narodem i nasza młodzież wszystko robi „śpiewający". Łatwość osiągania celu uwodzi. Pełne talentu, smaku są te plastyczne dowcipy, figle, chwyty, koncepcje. Podobają się. Podobają się przedewszystkiem samym autorom, i jak już wspomniałem—krytyce, stąd też inteligentnej i snobistycznej publiczności i może, może nawet... profesorom, którym, w ich czasach szkolnych, popuszczano cugli dopiero po długich latach „wkuwania się". A jednak niema nic bardziej lekkomyślnego od takiej zabawy. Kto może powiedzieć o sobie, iż wyzyskał w pełni czas, przeznaczony na studja? Zapytajcie o to wszystkich poważniejszych artystów. Podstawą nauczania (w sztuce) jest studjowanie natury. Zmieniają się sposoby studjowania — istota pozostaje ta sama. Zapas wiadomości, zebranych w ten sposób staje, się śpiżarnią — czerpiemy z niej nieustannie. Bo nawet najśmielsze, najbardziej fantastyczne pomysły plastyka są tylko nowym układem rzeczywistości. Młodzież, o której mowa, nie zajmuje się gromadzeniem potrzebnych wiadomości: jej prace są już pewnemi koncepcjami artystycznemi, o dosyć luźnym związku z naturą. Ale na jednym pomyśle, zwłaszcza tego rodzaju, nie można przecież oprzeć się na całe życie, nie można go uważać za podstawę do samodzielnej twórczości artystycznej — cóż pocznie więc, gdy trzeba będzie dać coś nowego, skądże weźmie do tego materjał, gdy w czasie, przeznaczonym na jego zbieranie, zajmowała się zabawą w „dorosłych" artystów? Może się mylę, może niektórzy z nich nauczyli się już wszystkiego, co szkoła im dać mogła, w takim razie jednak, poco w niej siedzą?

Ponieważ zjawisko omawiane ma swe źródło, między innemi, i w tolerancji profesorskiej — przejdźmy z kolei do nauczycieli. Krąży po świecie popularna bajeczka o jakimś znakomitym pedagogu, co nie zabija indywidualności ucznia. Ale czyż doprawdy prawdziwa indywidualność da się zniszczyć? Tych zaś, których pedagog-despota potrafi „zniszczyć", nie wypadnie nam chyba żałować. Co do mnie, jestem za zdecydowanym rygorem i trzymaniem pracowni w ryzach. Inna rzecz, iż osiąga się to rozmaitemi środkami, często wcale łagodnemi.

Dlatego też na wystawie tegorocznej podobały mi się najwięcej dwie pracownie, profesorów: Bartłomiejczyka i Jastrzębowskiego. Prowadzone odmiennemi metodami, wykazują przejrzyście intencje kierowników, są żywe w szczegółach, w całości jednolite. Z działu malarstwa należy wyróżnić pracownię prof. Mieczysława Kotarbińskiego. Panuje tu duża różnorodność; profesor wespół z asystentem Kokoszką zaznajamiają uczniów z rysunkiem, techniką malarską i kompozycją, przywiązując jednakową wagę do każdej z tych trzech umiejętności. Ta współmierność w ich dozowaniu, nieczęsto spotykana, wydaje mi się zaletą, u pedagoga nader cenną. (W. P.)

[1]) Cytuję z pamięci.

ZMARLI

Ś. P. LEON LISSOWSKI

WDN. 12 b. m. zmarł w Kijaszkowie ziemi lipnowskiej przeżywszy 63 lat, śp. Leon Lissowski, wybitny ziemianin, od najwcześniejszych lat ofiarny działacz narodowy, wreszcie na schyłku dni swoich, bohaterski ułan wojsk wskrzeszonej Rzeczypospolitej Polskiej.

Przedstawienie jego czynów na licznych polach działalności narodowej, mogłoby wypełnić nie jedną szpaltę (czytelnicy „Myśli" przypomną dziś sobie to, co z tego powodu pisał w naszem piśmie w 1927 r. przyjaciel zmarłego, Marjan Kiniorski); tu, wspominając z żalem długoletniego przyjaciela, pragniemy stwierdzić, iż był on nim nie w słowach, lecz w nieustannem działaniu, śpiesząc zawsze z czynną pomocą na każde wezwanie.

Od młodości aż do kresu dni swoich wspierał hojnie wszelkie nasze poczynania. Od czasów „Głosu", następnie „Polaka", „Przeglądu Wszechpolskiego" i t. p., aż po sprawy Obozu W. Polski, wszędzie spotkamy się z jego współudziałem, z jego serdeczną pomocą. Życie swoje ofiarne, górne wzloty młodego wiecznie ducha, ukończył świetną epopeją wojenną, jako pięćdziesięcioletni ułan wojsk polskich.

Cześć jego szlachetnemu duchowi.

OFENSYWA

PO ZBURZENIU BASTYLJI

MIESIAC temu, w związku ze świętem narodowem francuskiem t. j. rocznicą zburzenia Bourbońskiego Brześcia (Bastylji), zamieściła „Polska Zbrojna" artykuł swego *directeur en chef* p. t. „Trzeba odbudować Bastylję" P. Wł. L. Evert jest „poetą", protestantem i Petersburszczaninem z urodzenia. To w wielkiej mierze usprawiedliwia i odciąża z odpowiedzialności młodego człowieka za tendencję generalną jego artykułu. Nadto p. Wł. L. Evert znajduje się pod mocnym wpływem swego ojca senato sanatora, impetycznego luteranina, i adoratora samodzierżawia w dawnym staroniemieckim, Sankt-Peterburgskim stylu (Petri *Schule*, Anna *Schule*). Evert-*senior* przez jakiś czas, z wiosną b. r., wydawał taki tygodniczek efemerydkę, w którym stale biadał nad „upadkiem Francji" i radził jej coprędzej sprokurować sobie takiego dyktatora, Centralniaka, Opatrznościowego. Zabawne było przypomnieć sobie przy tej okazji, jak to trzydzieści lat temu tak samo wydziwiały nad demokratyczną sojuszniczką francuską inne petersburskie kalwiny i luteranie, należący do wysokiej biurokracji i dyplomacji imperatorskiej. Historja powtarza się *mutatis mutandis* w każdej generacji. „Antydemokratyczne", carosławne artykuły senatora Everta przedrukowywała zbożnie ale niepotrzebnie „Polska Zbrojna"; co bowiem uchodzi w tygodniczku, to może być grubym nietaktem w piśmie codziennem i to w organie armji polskiej.

Teraz znowu p. Evert *junior* z okazji Bastylji puścił się na dziwne rozmyślanka i wywody: że niby dobrze się stało wonczas, że niby zburzono symbol przeżytków Bourbońskich, owszem, p. Evert to pochwala, ale z drugiej strony: „burząc Bastylję zburzono jednak nietylko ową nadgniłą pseudowładzę zdegenerowanej monarchji Bourbonów, za jednym zamachem podcięto ideę Władzy, podminowano prawo posłuchu, podważono zasadę Autorytetu".

Autoryt i Władza *nach bekannten Mustern* pisze pan Evert wielkimi literami, poczem już i carosławnie całkiem po petersbursku: „rozgaworza się":

„Rozumną i dobrą częstokroć tyranję jednostki zastąpiła bezmyślna, okrutna, zachłanna, łapczywa, chytra, obłudna, samolubna tyranja demagogów i politykierów... Brak autorytetu i władzy wytworzył chaos. Chaos ciąży nad Europą"...

Chaos ciąży głównie nad głową młodego człowieka redaktora „Polski Zbrojnej". Coś gdzieś słyszał, czytał, połapał, ale nie wie, w którym kościele. Gdy te i t. p. diatryby przeciw wszechwładztwu ludu, przeciw preponderancji legislatywy a za prymatem egzekutywy wygłaszał i wypisywał w „Słowie" p. Mackiewicz, to czynił to z wielką fugą, *con fuoco* i przedewszystkiem z talentem. Nie bardzo się też wgłębiał i wdrążał ni w Sorela ni w Vilfredo Pareto, ale bądź co bądź znał świetną książkę St. Wędkiewicza i orjentował się conieco w ideologji i Sorelizmu i faszyzmu. W gadaninie Bastylskiej redaktora „Polski Zbrojnej" był już tylko czysty petersburgski moskalizm, Mikołajewszczyzna, Pobiedonosiec, nadwiślański tandetny persiflaż starego, wspaniałego reakcjonizmu „nadbałtyckich baronów". Ponieważ atoli drukowane było w lipcu w *saison morte*, przeto na „odbudowę Bastylji" przez p. Everta obruszyły się tylko dwa pisma polskie. Natomiast delikatną reprymendę dostał domorosły samodzierżawnik od... „*Nasze Wremja*".

Do tegośmy doszli! Tak się role zmieniły. Taki typ Polaka „najnowocześniejszego", nowowremieńskiego powstał i rozrodził się w epoce Brzeskiej. Czyż mogli się spodziewać Maurras, Daudet, Bainville i czołowi teoretycy „*camelots du Roy*", że po kilkunastu latach w dalekiej Sarmacji znajdą elewów, którzy w tak groteskowo-prymitywny sposób będą przerabiali, przekręcali i fałszowali ich wspaniałą ideologję antydemagogiczną *ad usum* barbaryjnej Elity i na benefis bliskich nam ludzi z dalekiego nam Wschodu?...

* *

Z okazji tej samej rocznicy zdobycia Bastylji uczony żydowski prof. Szymon Dubnów przypomniał znów swoim współwyznawcom pewien ważny szczegół w „Naszym Przeglądzie" („Żydzi podczas rewolucji francuskiej"):

„Dni lipcowe 1789 przyniosły żydom zarówno radość jak i smutek. Żydzi Paryża ujrzeli rozgromioną Bastylję, upokorzenie despotyzmu, trjumf narodu. Mieszkańcy Ghetta, wczoraj jeszcze dygocący przed dozorcą policyjnym, który mógł każdego z „bezprawnych" wypędzić ze stolicy, odrazu się zmienili. Dotknął ich ożywczy prąd elektryczny, przebiegający przez organizm Francji. W Paryżu grupy żydów zaczęły wstępować do armji wolności, do gwardji narodowej. To samo działo się w Bordeaux. Ale w tymsamym czasie (koniec lipca) z Alzacji nadchodziły wieści niepokojące.

W związku z ruchem agrarnym włościan w okręgach wiejskich Alzacji rozgromiono mieszkania żydowskie.

Rozdrażnieni wielowiekowym uciskiem feodałów świeckich i duchownych, włościanie plądrowali z zaciekłością pałace i folwarki szlachty, mimochodem zaś także siedziby żydów na wsi, usiłując w szczególności zniszczyć tam zobowiązania długowe i księgi handlowe swych wierzycieli.

Ujarzmiani przez szlachtę żydzi stali się, według wyrażenia pewnego dziejopisa, towarzyszami swych tyranów w cierpieniach. Przeszło tysiąc żydów umknęło, zostawiając domy i mienia na łaskę grabieżców i znajdując schronienie w mieście szwajcarskiem, w Bazylei"...

Jak więc okazuje się z tego, gniew ludu, kiedy wybucha na wielką, rewolucyjną skalę, kieruje się nie tylko na „pałace i folwarki feodałów", nie tylko na Bastylje, Szliszelburgi, Kufsteiny, Potsdamy i te twierdze i więzienia, w których wybrańców ludu więziono, łżono, katowano, bito, głodzono i poddawano ohydnym torturom, ale gniew ludu kieruje się także i przeciw tym, którzy na tym systemie pasorzytowali, ciągnąc z niego materjalne, lichwiarskie profity. Jest to szczegół godny zapamiętania. Zburzeniu Bastylji nad Sekwaną (nie nad Bugiem) towarzyszyły też pogromy żydów na prowincji francuskiej, aczkolwiek w samym Paryżu pośpiesznie grupy żydów zaczęły „wstępować do armji wolności", do gwardji rewolucyjnej. No a przecież tam wtedy żydzi żyli w Ghetto, nie solidaryzowali się z systemem antydemokratycznym, antyparlamentarnym, absolutystycznym, Bourbońskim? Tylko za sam proceder lichwiarski i pijawkowe wysysanie złota z wszystkich warstw, zaraz po zdobyciu Bastylji gniew ludu skierował się „mimochodem" i na siedziby żydowskie, których zresztą i w Alzacji i w samej Francji było tak mało, tak minimalnie!

Jakież tedy perspektywy otwierają się w przyszłości dla naszego żydostwa, którego cała młodzież rewolucji socjalnej pragnie, do niej dąży i do niej się przygotowuje, podczas kiedy znów reszta społeczności żydowskiej ze wszystkich sił podpiera *regime*, którego ludziom czołowym marzy się.. odbudowa Bastylji?

Czy na dobrych koni stawia i czy na dobrych papierach i akcjach spekuluje żydostwo w Polsce, jedną ręką podpierając z największem natężeniem (i zapałem) cezaryzm *sui generis*, prewalencję egzekutywy, wszystkie poczynania i akty przeciwludowe, i całą tę dzisiejszą uzurpat-ologję, a drugą ręką zdrowszą, silniejszą (bo młodą) przygotowując niezmordowanie, skrzętnie i zabiegliwie przewrót socjalny, powiedzmy szczerze, bolszewicki? Przecież papa (rabin), stuprocentowy adorator Centralnej postaci, a syn (czy córka), adoratorzy Lenina i Stalina, to dziś normalna konfiguracja przeciętnej rodziny żydowskiej w Polsce.

Podobnie zaś jak żydzi francuscy w r. 1789 tak samo i ci synowie napewno natychmiast całemi „grupami" wstępować będą do... gwardji rewolucyjnej, do „armji wolności"...

A co wtedy będzie się działo na szerokim terenie, w kraju, na prowincji, po wsiach, po małych miastach, w naszej... Alzacji?.. Przewidzieć nie trudno.

Niechżeż więc nie oczekują i nie obiecują sobie tyle po zdobytej Bastylji ci, którzy tak namiętnie, tak fanatycznie, tak solidarnie i na całej linji od lat współpracowali, i to nie z przywracaniem autorytetu, władzy, dyscypliny, hierarchji, egzekutywy i prymatu państwa (co wszystko jest słuszne i godziwe), ale właśnie z tem wszystkiem niepotrzebnem i zbytecznem, co możnaby zdefiniować jako odbudowywanie Bastylji w mentalności i moralności politycznej polskiej.

ADOLF NOWACZYNSKI

NA MARGINESIE

Jednym z najdotkliwiej odczuwanych braków w Polsce dzisiejszej był niewątpliwie brak pałacyku myśliwskiego dla P. Prezydenta Rzplitej. Potrzeba była tak paląca, że p. wojewoda śląski, dr. Grażyński zdecydował się na wzniesienie tej niezbędnej budowli, nie pomyślawszy nawet, skąd weźmie fundusze na opłacenia robotników. Obecnie donoszą dzienniki:

„Dwustu robotników, którzy w swoim czasie byli zatrudnieni przy budowie zameczku w Wiśle stawianego przez województwo śląskie dla p. Prezydenta Rzplitej, a następnie przy budowie wojewódzkiego sanatorjum w Istebnej, zwróciło się do adwokata o wniesienie skargi sądowej przeciw województwu śląskiemu o wypłatę zaległych od szeregu miesięcy zarobków z tytułu pracy przy budowie powyższych gmachów. Poszczególne kwoty sięgają od 300 do 1.000 zł.

Zanim robotnicy wystąpią ze skargą sądową przeciw skarbowi śląskiemu, zamierzają wysłać delegację do p. Prezydenta".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.